

W NUMERZE: Cztery wiosenne notatki prozą Zygmunta Fijasa ■ Joachim Lelwel i środowisko Związku Komunistów w przededniu Wiosny Ludów ■ Ostatnia dyrektywa ■ Ogromny dorobek, ale... ■ Poezja młodych

Łódź

odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny



NR 26 (1177) ROK XXIII

29 CZERWCA 1980 R.

CENA 3 ZŁ



Foto: R. Łucyszyn

Jacek Indelak

POCIĄG POD SPECJALNYM NADZOREM

Wyruszał z Łodzi Kaliskiej do Miastka pierwszym tegorocznym pociągiem kolonijnym.

Kierownik działu przewozów pasażerskich łódzkiej DOKP — Stanisław Dobosz wpisuje moje personalia w służbowy diagram „pociągu nadzwyczajnego nr 18321”. Wchodzę w skład drużyny konduktorskiej. Tylko dwie osoby wiedzą, kim jestem naprawdę: kierownik pociągu — Mieczysław Frandzel i konduktor — Jerzy Pietrzykowski, o czym dowiadują się zresztą na kilka minut przed odjazdem.

Kamufaż jest niezbędny. Mam przecież zdać Czytelnikom relację z tego, jak nasze dzieci podróżują na kolonie i obozy.

— Jak dojadą? — to pytanie spędza sen z powiek matkom i ojcom, którzy często mniej się niepokoją o pobyt na kolonii swej latorośli, niż o bezpieczną i spokojną podróż w tę i z powrotem.

Niepokoje te nie są, niestety, wynikiem tylko i wyłącznie przewrażliwienia. Pociągi kolonijne nie cieszą się najlepszą sławą.

Wychowawcy, zabawiający się w „kółkach wódczono-karcianych” lub beztrosko przesypiający całą podróż. Dzieci, hasające przez całą noc, nabijające sobie nawzajem guzy i rozkrwawiające nosy. Nastolatki, racząc się bezkarnie piwem lub tanim winem, wypalający roczną „normę” papierosów. Bałagan i bezholowie, bójki i awantury, niestrawności i przeziębienia, popłoch i zamieszanie... I tak dalej i tym podobnie. Różnie w pociągach kolonijnych bywało. Niejeden z kolejarzy wspomina zdewastowane wagony, pokrojone żyłkami siedzenia czy zanieczyszczone przedziały. Prze-

(Dalszy ciąg na str. 6)

BOGDA MADEJ

ZERÓWKA

Wakacje miną szybko i dzieci znów spotkają się w szkole. Wiele z nich po raz pierwszy. Wiele z nich w klasie zerowej, w której mają oduńczyć się beztroski, a nauczyć się obowiązków, jakie będą im już odtąd towarzyszyły przez długie lata szkolnej nauki. Zerówka funkcjonuje już przez trzy lata, można więc pokusić się o pierwsze uwagi i wnioski.

Co to jest zerówka?

Mówiąc najogólniej jest to przygotowanie malucha do szkoły, nauczanie go współżycia w grupie, wyrobienie takich umiejętności, które będą mu przydatne w szkole, wyrównanie braków, w sumie — wyrobienie szkolnej dojrzałości.

Dzieci są badane przez psychologów, którzy określają jakie umiejętności są u dziecka, mniej rozwinięte, na które trzeba zwrócić szczególną uwagę. Na przykład jedno dziecko musi nauczyć się słuchać tego, co się do nich mówi w taki sposób, aby umiały łatwo dzielić wyrazy na głoski. Jest to podstawa do nauki czytania. Inne mają słabiej rozwinięte zdolności manualne i w zerówce trzeba zaległości wyrównać, innym jeszcze trzeba wyrobić umiejętność obserwacji. I tak dalej.

Pedagodzy wyszli ze słusznego założenia, że dzieci wychowując się w różnych środowiskach są niejednako przygotowane do nauki w szkole, a ponieważ nauka ta robi się coraz trudniejsza, programy coraz bogatsze, przygotowanie do tej nauki musi odpowiadać pewnym warunkom. I właśnie zerówka ma warunki te spełnić. Ścisłej — ma wyrównać braki, odrobić zanie-

Tyle teoria. A jak wygląda praktyka?

Program klas zerowych realizuje się w trzech miejscach: w przedszkolach, w szkołach i w ogniskach. W przedszkolach są klasy przedszkolne, w szkołach zerowe, a ogniska są nastawione na przygotowanie dzieci, które nie chodzą do przedszkoli i mają opiekę w domu.

Nauczycielki, z którymi rozmawiałam, uważały, że na początku różnice w przygotowaniu dzieci do szkoły były znaczne. Najlepiej przygotowane były dzieci, które chodziły do klasy zerowej. Teraz różnice te zmniejszają się i okazuje się, że najlepiej przygotowane są dzieci, które uczęszczają do ognisk.

Skąd brały się i biorą się różnice?

W przedszkolu, gdzie dzieci są przez cały niemal dzień, na zajęcia przedszkolne wyznacza się pewne godziny i przejście od zabawy do nauki dokonuje się dla malucha prawie niespostrzeżenie. W przedszkolu przygotowaniemi do nauki zajmuje się więcej osób, czasem liczbą dzieci jest mniejsza, co pozwala uważniej się nim zająć. Również osoby, zajmujące się przygotowaniem przedszkolnym dzieci, nabrały już pewnych doświadczeń. Wszystko to razem wychodzi z korzyścią dla dzieci.

W ognisku na ogół jest kilkanaście dzieci. Bywa, że przygotowuje się do szkoły 12, 15, 10, 9 dzieci. Wtedy można zająć się nimi dokładnie, pracować indywidualnie z każdym dzieckiem, uzyskując pożądane i zalecane przez psychologa efekty. Dlatego w ognisku można przygotować dzieci do nauki szkolnej bardzo starannie.

Najtrudniej jest w szkole. Przede wszystkim klasy zerowe zostały obliczone na 30 dzieci i wyposażono je w urządzenia i pomoce tylko dla 30 dzieci. Na ogół jednak bywa, że uczy się w zerówce więcej niż 30. I to już stwarza pierwszy kłopot.

Drugi kłopot też z tego wynika, gdyż w takiej liczbie dzieci trudno jest zająć się nimi indywidualnie. Dzieci się więc dzielą na zespoły, w których prowadzi się zajęcia wyrównawcze. Nauczyciel przebywa z klasą zerową przez 5 godzin bez przerwy. Chodzi z nimi na spacer, na obiad, prowadzi zajęcia, musi uważać na wszyst-

(Dalszy ciąg na str. 7)



Foto: Archiwum



Foto: W. Parys

Względy ekonomiczne zmusiły inwestora budownictwa mieszkaniowego do szukania tańszych materiałów. Zamiast cegły — całe ściany z płyt betonowych, zamiast parkietu — płytki PCW. Nie bez znaczenia była oszczędność czasu: miast roku czy dwóch, blok mieszkaniowy na sto rodzin był gotów w ciągu 6 miesięcy. To nic, że po otrzymaniu kluczy trzeba natychmiast zabierać się do remontu mieszkania, że rozpoczyna się długi korowód wysyłanych skarg do spółdzielni mieszkaniowej i że ludzie zmęczeni beznadziejną walką, w czasie której domagają się tego za co zapłacili, często szukają sprawiedliwości w sądzie. Z reguły wygrywa RSM, instytucja, wobec której poje-

dynczy lokator jest zaledwie małą drobiną zagubioną na rozległym obszarze jej działania.

Lentex miał być rewelacją. Wydawało się, że raz na zawsze skończyła się era tradycyjnych podłóg i parkietów. Mieszkanie, w którym nie leżał lentex, uchodziło za mniej nowoczesne. Niektórzy, aby dogonić modę, zrywali z podłogi cegły i prosili o lentex. I nagle panika. Lentex gnije. Zmienia barwę na żółtą, różową i śmieszki.

Jeśli zła jakość lentexu była zaskoczeniem dla mieszkańców nowo wzniesionych bloków, to nie była ona nowością dla ludzi z Centralnego

(Dalszy ciąg na str. 6—7)

EUGENIUSZ IWANICKI

COŚ GNIJE

Obchodzony obecnie jubileusz stulecia polskiego ruchu robotniczego, jako zorganizowanego ruchu społecznego, który wysunął się na czoło w naszym życiu społeczno-politycznym z determinacją kierunku rozwoju naszego państwa i społeczeństwa, skłania historyków również do poszukiwań, sięgających głębiej wstecz: do pierwszych polskich kontaktów z twórcami marksizmu. Niniejszy tekst, poświęcony stosunkom naszego wielkiego historyka XIX w. Joachima Lelewela ze środowiskiem niemieckiej emigracji w Brukseli, stanowi fragment referatu, przedstawionego przez autora w języku niemieckim 29 maja b.r. w Lipsku, na posiedzeniu Komisji Historyków PRL i NRD.

W okresie przedrewolucyjnym 1848 r. stolica Belgii stała się ważnym ośrodkiem międzynarodowej lewicy, która znajdowała tu szersze możliwości działania, aniżeli w Paryżu czy w innych wielkich ośrodkach europejskich. W początkach lutego 1848 r. przybył do Brukseli Karol Marks z żoną, w kwietniu zjawili się Fryderyk Engels. Ze wspomnień żony autora „Kapitału” wiadomo, że niedługo po zaistnieniu się w Brukseli Karol i Jenny Marksowie w jednej z tamtejszych kawiarni poznali się ze „starym Lelewel”.

Uwagę polskiego historyka nie uszła wzrastająca aktywność niemieckiego środowiska w Brukseli, składającego się z robotników, rzemieślników i emigrantów politycznych, oraz manifestowana na łamach wychodzącego od początku 1847 r. „Deutsche Brüsseler Zeitung” żywiołowość niemieckich demokratów, działających w Belgii, dla sprawy polskiej. Pismo to, wydawane przez Adalberta von Bornstedta, którego Lelewel znał osobiście, szybko znalazło się w kręgu oddziaływania miejscowego niemieckiego środowiska komunistycznego, a po paru miesiącach stało się w rzeczywistości nieoficjalnym organem Związku Komunistów.

„Dziś Niemców tu przebywających podobno paręset radziło, dyskutowało”, donosił Lelewel z Brukseli 26 września 1847 r. Walentemu Zwierkowskiemu, żaląc się jednocześnie na to, że nie ma dostępu do „książek niemieckich o nas piszących”, jakich wiele się wówczas pojawiało. Wiadomość o niemieckim zebraniu odnosi się najpewniej do obrad „Deutscher Arbeiterverein”, podczas których dyskutowano właśnie sprawę utworzenia — przy czynnym współudziale komunistów — międzynarodowej organizacji, która skupiłaby siły demokratyczne różnych krajów. Rozmowy wstępne odbyły się 27 września podczas robotniczego bankietu, któremu przewodniczył belgijski radykał Louis Jottrand. Nie wiemy, czy Lelewel wziął w nich udział, niewątpliwie jednak został pozyskany dla sprawy i uczestniczył w zebraniach założycielskich „Association Democratique ayant pour but l'union et la fraternité de tous les peuples” — jak nazywała się nowa organizacja — które odbyły się 7 i 15 listopada 1847 r. Podpis Lelewela widnieje pod protokołami z obu tych posiedzeń, sąsiadując z podpisem K. Marksa. Polski uczonec wraz z trzema innymi Polakami — Janem Kordaszewskim, Ludwikiem Lublinerem i Konstantym Zaleskim — znalazł się — razem z reprezentantami innych narodów, m. in.: K. Marksem i F. Engelsem, pomiędzy założycielami „Association Democratique”, a po ukonstytuowaniu się zarządu tej organizacji — w którym jednym z wiceprezesów został K. Marks — wszedł doń w charakterze członka.

18 listopada 1847 r. Lelewel pisał o Brukseli do W. Zwierkowskiego:

„Niemcy utworzyli tu swe narodowe towarzystwo. Za czym kłuty się myśli utworzenia towarzystwa międzynarodowego. Tworzenie to opierało się o gotowych (t.j. przygotowanych już do tego — AFG) Niemców. Belgii wicherzyli. Zaproszono i mnie do kompanii. Znalazłem nie dopiero popychane plany obchodu 29 (listopada) z niestychaną uroczystością”.

Obchód rocznicy wybuchu powstania listopadowego był pierwszym publicznym wystąpieniem nowego stowarzyszenia. Przygotowaniem do tej uroczystości towarzyszyły polityczne właśnie wśród polskich emigrantów w Brukseli, jak pisał o tym Lelewel:

„rosły alarmy, urojenia, na Niemców gniewy i zżymania się, że się wdzierają, na urojony komunizm, na tych i owych warchołów belgijskich”.

Historyk starał się łagodzić te konflikty. Na wiele dni przed obchodem wiedział już, że wystąpią na nim „jeden Niemiec i Francuz”. Podczas brukselskiej uroczystości 29 listopada silnie zabrzmiąły akcenty rewolucyjne, podniesione zarówno w przemówieniu delegata „Association Democratique” Karla L. Spilthoorn’a, jak i aktywnego działacza „Deutscher Arbeiterverein”, niemieckiego komunisty Stephana Borna oraz samego Lelewela, który podkreślił ideę braterstwa narodów polskiego i niemieckiego oraz dowodził, że wzajemne antagonizmy między Niemcami a Polakami są wytworem „systemu feudalnego”, że zostają przekreślone przez szlachetne uczucia walczących o swą wolność obu narodów. Sprawozdanie z przemówień, ogłoszone na łamach „Deutscher Brüsseler Zeitung”, podpisał Lelewela jako „membre du Gouvernement National” znalazł się pod ogłoszoną na tym samym obchodzie 29 listopada (zredagowaną jednak przed nim) odezwą „Association Democratique” do ludu szwajcarskiego; znajduje się on tam na szóstym miejscu, tuż za podpisem: „Karl Marx, ancien redacteur de la „Gazette Rhénane” — vice president”. K. Marksa jednak na brukselskiej uroczystości nie było. Z ramienia „Association Democratique” oraz brukselskiej gminy Związku Komunistów wyjechał on do Londynu, aby wziąć udział w międzynarodowym wiecu demokratycznym, zorganizowanym w rocznicę wybuchu powstania listopadowego przez radykalne stowarzyszenie „Fraternal Democrats”, oraz uczestniczyć w II Kongresie Związku Komunistów. Co najmniej pierwszy z tych celów podróży Marksa do Anglii znany był dobrze Lelewelowi. Dnia 29 listopada 1847 r. Marks i Engels wystąpili w Londynie na wiecu w rocznicę polskiego powstania; ich przemówienia wydrukowała niebawem „Deutsche Brüsseler Zeitung”. O bru-

kselskim obchodzie polskiej rocznicy mówił 30 listopada K. Marks na posiedzeniu londyńskiego „Kommunistische Arbeiterbildungsverein”.

Związanie się Lelewela oraz trzech innych polskich demokratów z „Association Democratique” jeszcze przed 29 listopada obudziło — jak pamiętamy — zastrzeżenia w polskiej kolonii emigracyjnej w Brukseli. Ich powodem było nie tylko, że Niemcy „się wdzierają” do urzędzenia polskiej narodowej uroczystości, ale — jak to określił Lelewel — również „urojony komunizm” środowiska, które wzięło teraz w swoje ręce sprawę obchodu, jak wiadomo bynajmniej nie mniemany, skoro weźmie się pod uwagę, jak silne były wpływy działaczy Związku Komunistów w „Association Democratique”. Do poważniejszego konfliktu ideowego, który wykraczał poza Brukselę, doszło jednak dopiero po listopadowym obchodzie. Radykalne idee, jakie podniesiono zarówno w Brukseli, jak w Londynie, spotkały się ze sprzeciwem wybitnych działaczy Centralizacji Towarzystwa Demokra-

cyjnej oderwanej od mas, gotów był współpracować z tymi siłami, które podnoszą sprawę polską i manifestując swoje dla niej poparcie, miały rzeczywiste oparcie w szerokiej masach ludowych. Ta jego postawa warunkowała mu zbliżenie ze środowiskiem robotniczym, z którym Lelewel czuł się blisko związany zarówno stylem swego życia, jak i uważając się za „człeka ludu, proletariatu” — jak mówił o sobie sam — i zawiódł go do współpracy z „Association Democratique” i kontaktów z działaczami niemieckiego środowiska robotniczego w Brukseli oraz Związku Komunistów.

Było bardzo znamienne, że mimo wspomnianych krytyk i nacisków, Lelewel nie zerwał współpracy z „Association Democratique” oraz niemiecką emigracją polityczną w Brukseli. Kiedy w belgijskiej prasie ukazał się protest przeciw radykalnym ideom, podniesionym przez mówców na obchodzie 29 listopada — podpisany także przez K. Zaleskiego, który widocznie uległ naciskom Centralizacji Towarzystwa Demokratycznego Polskiego — Lelewel nadesłał do „Deutsche Brüsseler Zeitung” znamienne oświadczenie, skierowane przeciwko zwolennikom polityki Adama Czartoryskiego oraz — choć tego nie powiedziano tutaj wprost — przeciw polityce działaczy Centralizacji.

Tekst tego oświadczenia mimo że został swego czasu odnotowany w bibliografii utworów J. Lelewela, nie został dotychczas wykorzystany przez badaczy polskich. Pierwszym i jedynym dotąd historykiem, który cytował go w swej pracy, jest znany historyk z Niemieckiej Republiki Demokratycznej Walter Schmidt, który przytoczył lelewelską enuncjację w opublikowanym przez siebie w 1964 r. studium o sprawie polskiej na łamach „Deutsche Brüsseler Zeitung”. Dzięki pomocy pro-

w imieniu „Association Democratique”, z improwizowanym przemówieniem zwrócił się do zebranych Lelewel:

„chwytając za ostatnie słowa poprzedniego mówiącego o braterstwie powiedziałem, że ten wyraz ma wielki urok, bo zdolny jest utworzyć przymierze ludów, uczyszy drażliwość religijną, zawiści narodowe, zdolny (jest) ustalić demokrację ze wszystkimi jej następstwami. Owoż Polska w swej niedoli braterstwo dobrym sąsiadom Niemcom proponuje. Znanie przysłów: Polak Niemcowi nie będzie bratem, nie ma waloru (...)”.

Obszerne sprawozdanie z tej uroczystości zamieściła „Deutsche Brüsseler Zeitung” w numerze z 6 stycznia 1848 r., podkreślając obecność na niej „wypróbowanego od pół wieku polskiego demokraty i wielkiego europejskiej sławy uczonego Joachima Lelewela”. W niemieckim piśmie odnotowano — czego nie zauważono dotąd w nauce polskiej — również wystąpienie wielkiego polskiego historyka. Po wypowiedzi Picarda — czytamy w „Deutsche Brüsseler Zeitung”:

„podniósł się wówczas swy Lelewel (gwaltowna, długotrwała burza oklasków całego zgromadzenia) i w imieniu demokratycznej Polski podkreślił swoje sympatie dla demokratycznych Niemiec, zjednoczonych, wielkich, silnych, uwolnionych od ucisku książąt, samorządnych, dobrych sąsiadów Polski, zaś nienawidzących Niemiec oficjalnych pod panowaniem ich książęcych gniebieli i teraźniejszych wyzyskiwaczy. Gdy przebrzmiała spowodowana tą mową, głosząca sojusz ludów Polski i Niemiec burza oklasków, Lelewel wznosił toast za pomyślność wolnych, wyzwolonych, nowych Niemiec i ludu niemieckiego (powszechny aplauz)”.

JOACHIM LEWELEW

I ŚRODOWISKO ZWIĄZKU KOMUNISTÓW W PRZEDEDNIU WIOSNY LUDÓW

ANDRZEJ F.
GRABSKI

tycznego Polskiego, którzy poczęli wywierać nacisk na Lelewela i innych Polaków, związanych z „Association Democratique”, aby zerwali swe stosunki z ludźmi, podejrzewanymi — nie bez podstaw — o komunizm. Historyk bronił się przed stawianymi mu zarzutami, że wszedł w stosunki, których nie powinien był nawiązywać, pisząc 24 grudnia 1847 r. z Brukseli do W. Zwierkowskiego:

„Co to za ludzie w tym Towarzystwie, nie wiem dobrze: znam wielu, widzę wielu uwrócić (t.j. robotników — AFG), widzę między nimi goście zwady osobiste; co który z nich myśli, jakie ma pojęcia, nie wiem; demokratyczne? Wiele pewnie kongres wyjaśni. Wiem, że są ludzie mniej znani, co działają i popychają, że Towarzystwo to pożyteczne i naszej sprawie pożytek przyniesie może, że nawet może się stać punktem oparcia wielu widzeń, głosów i ruchów”.

Wspominając o kongresie, który miałby wyjaśnić nieporozumienia co do charakteru „Association Democratique”, miał Lelewel na myśli projektowany na rok 1848 międzynarodowy kongres demokratyczny, projektem zwolania którego żywo zajmował się Marks podczas swego pobytu w Londynie. Lelewel wyrzucił Zwierkowskiemu, że „za usługę i narażenie się” otrzymał odeń „burę”, i wspominał, że podobnie skrytykował go Józef Wysocki, który był — jak wiemy — wybitnym działaczem Centralizacji Towarzystwa Demokratycznego Polskiego. Historyk objaśniał, że „gonić nasz (t.j. K. Marks — AFG) zetknął się w Londynie z radykałami, o których de nomine et cognomine zawsze mi tyle dobrego Worcell prawił”, że on — Lelewel (który był wówczas członkiem Towarzystwa Demokratycznego Polskiego) — nie był członkiem Centralizacji, zerwali swoje kontakty z tym środowiskiem. Na zdanie Wysockiego, „że te radykały są komuniści”, Lelewel replikował:

„Ależ oni jedni w Londynie sprawę polską świetnie podnieśli; Ludwik Oborski, dzięki mu, udzilił im swego imienia”.

Historyk spotkał się również z wyrzutami ze strony Giuseppe Mazziniego, który miał do niego żal, że mimo zaproszenia nie wszedł do utworzonej przez „People's International League”. Mazzini pisał 3 grudnia 1847 r. do Lelewela:

„Zamiast pracować dla sprawy, mogącej mieć znaczenie, to dla naszej Ligi, dał Pan swe nazwisko nie wiem jakim ludziom, komunizm, kosmopolitizm etc., którzy mimo że się zwą Bratnimi Demokratami, łamią wszelkie braterstwo, przechodząc się wszystkim i wojując jak mogą z ludźmi, mającymi najlepsze w świecie zamiary, do których i ja należe, chociaż nie jestem ani monopolistą, ani bourgeois, jak to oni mówią”.

List z 24 grudnia 1847 r. pozwala nam zrozumieć pobudki, które skłoniły Lelewela do współpracy z „Association Democratique”, a pośrednio także z „Fraternal Democrats”, podczas gdy odrzucił on ofertę wejścia do organizacji, stworzonej przez Mazziniego, którą poparło wielu działaczy Towarzystwa Demokratycznego Polskiego. Zwolennikiem komunizmu Lelewel nie był, i to ani w jego dawnej — utopijnej — ani współczesnej postaci, tej którą nadawali mu K. Marks i E. Engels. Uważał się konsekwentnie za demokratę, podobnie jak przed laty uważając za podstawę demokracji idee: wszechwładztwa ludu i braterstwa. Rozczarowany do działalności spiskowo-konspira-

torów Wernera Bertholda z Lipska i Helmuta Bleibera z Berlina udało mi się otrzymać fotokopię całej lelewelskiej emuncjacji ze zbiorów Instytutu Marksizmu — Leninizmu w Berlinie, który posiada mikrofilm całości tego unikalnego dziś pisma, jakim jest „Deutsche Brüsseler Zeitung”. Okazało się, że Lelewel nadesłał swoje oświadczenie w języku francuskim, redakcja zaś opatrzyła je obszernym komentarzem i opublikowała najpierw po francusku, następnie zaś w tłumaczeniu niemieckim. Tekst niemiecki, którego najistotniejszy fragment przytoczył swego czasu W. Schmidt, nie jest jednak wiernym przekładem francuskiego a pomyłka — bo tylko ona może tu wchodzić w rachubę — poważnie zmienia jego sens. W swym oświadczeniu Lelewel podkreślił swój przyjaźny stosunek do europejskich dążeń rewolucyjnych i wskazywał:

„że przyszłość Polski jest nieuchronnie ściśle związana z postępowymi ideami, które rozwijają się na Zachodzie i że chcąc oddzielić Polskę od wielkiego europejskiego ruchu socjalistycznego i demokratycznego, byłoby to chcieć otoczyć Polskę prawdziwym chińskim murem”.

Tyle tekst francuski, oryginalny, który wyszedł spod pióra Lelewela; czytamy w nim wyraźnie o ruchu „socialiste” — socjalistycznym, co w tłumaczeniu na język niemiecki zostało osłabione, skoro zamiast „socjalistyczny”, znalazło się tu określenie „sojalny” (sozialer). Zmiana mała, lecz znacząca, zamazująca rzeczywisty charakter emuncjacji wielkiego polskiego historyka-demokraty, w której określił on swój stosunek do ówczesnego ruchu socjalistycznego. Na tej samej stronie „Deutsche Brüsseler Zeitung”, w tym samym numerze 10 z 1848 r., datowanym 3 lutego, znalazła się krótka notatka bez tytułu, informująca że Ludwik Lubliner, jeden z najbliższych przyjaciół i politycznych współpracowników Lelewela, opublikował na łamach pisma „Emancipation” pismo protestacyjne przeciwko temu samemu protestowi, który odrzucił w swym oświadczeniu Lelewel. Wielki historyk nie był więc osamotniony w swoim stanowisku.

Związki Lelewela ze środowiskiem, w którym rej wodził działacze Związku Komunistów, dawały powód do uważania go za rzecznika radykalnych, rewolucyjnych dążeń społecznych, których on wszakże nie podzielał. Za radykalnego rewolucjonistą nie tylko będzie go uważała policja belgijska, rozważając w grudniu 1847 r. ewentualność wydalenia Lelewela z Brukseli w związku z jego działalnością w „Association Democratique”, ale także F. Engels, który w przemówieniu, wygłoszonym 22 lutego 1848 r. uzna historyka za „genialnego człowieka”, który w 1831 r. „zaproponował prawdziwie rewolucyjne metody”.

28 grudnia 1847 r. delegacja brukselskiej „Deutscher Arbeiterverein” zaprosiła historyka na „wieczorną ucztę” ostatniego dnia roku, w której Lelewel wziął udział. Podczas uroczystości, jak zdawał sprawę w liście do W. Zwierkowskiego z 1 — 2 stycznia 1848 r.:

„Marks zabrał głos po francusku wystawiając, jak się pomyliła dyplomacja, dopuszczając do egzystencji Belgii, nadmienil o kongresie demokratycznym i o Towarzystwie Demokratycznym Internacjonalnym (t.j. o Association Democratique — AFG), z którego nas, reprezentantów, na ucztę zaprosiło”.

Po wystąpieniu Alberta Picarda, który mówił

Obie relacje — mówcy i słuchacza — uzupełniają się wzajemnie i pozwalają stwierdzić, że w swym wystąpieniu Lelewel skupił się na sprawach, które podnosił wielokrotnie w latach trzydziestych: przyszłości demokratycznych Niemiec i wyzwolenia Polski. Przemówienie Lelewela świadczy, że budzący się niemiecki ruch robotniczy ożywił w nim dawne nadzieje na rewolucyjną przemianę w Niemczech i ułożenie wzajemnych stosunków polsko-niemieckich na płaszczyźnie braterstwa i współpracy wyzwolonych ludów. Było też znamienne, że historyk wypowiedział się teraz — jeśli wierzyć niemieckiemu sprawozdawcy — nie tylko przeciw uciskowi ze strony książąt, o czym pisał wielokrotnie i wcześniej, ale także uciskowi ze strony „teraźniejszych wyzyskiwaczy”. Jeśli taka była rzeczywista myśl Lelewela, świadczyłoby to, że pod wpływem kontaktów z działaczami niemieckiego ruchu robotniczego i twórcami naukowego socjalizmu poczuł on dostrzegać korzenie ucisku, tkwiące w kapitalistycznym systemie eksploatacji.

22 lutego 1848 r. Lelewel przemawiał — obok K. Marksa i E. Engelsa — na uroczystości, urządzonej w drugą rocznicę powstania krakowskiego. Informację o jej przebiegu opublikowała „Deutsche Brüsseler Zeitung”, a wygłoszone na niej mowy ukazały się niebawem w osobnej broszurze nakładem niemieckiego wydawcy C.C. Volgera. Podpis Lelewela widnieje na czwartym miejscu — obok Marksa (na drugim) — pod adresem „Association Democratique” do Rządu Tymczasowego Republiki Francuskiej, datowanym w Brukseli 28 lutego 1848 r. Wiozącemu ten adres do Paryża K.L. Spilthoornowi historyk dał listy polecające do znajomych Francuzów. Lelewel, który zaprzyjaźnił się z Marksem i jego żoną, odczuł boleśnie ich wydalenie z Brukseli, czemu dał wyraz w swej korespondencji.

Nie mamy dowodów na to, by uznać — jak niekiedy sądzono — że podpisał Lelewela znalazł się pod „Manifestem Komunistycznym”. Współczesne źródła nie dostarczają też potwierdzenia zdaniu, wyrażonemu we wspólnym piśmie Karola Marksa, Fryderyka Engelsa, Paula Lafargue’a i Fryderyka Lessnera przesłanym 27 listopada 1880 r. z Londynu z okazji mitingu, zorganizowanego przez redakcję „Równości” w Genewie w 50-lecie powstania listopadowego, jakoby wielki historyk polski przyłączył się do postanowień I Kongresu Związku Komunistów. Nie ulegają natomiast wątpliwości bliskie stosunki Lelewela z Marksem, o których obaj pamiętali i po opuszczeniu Brukseli przez autora „Kapitału”.

23 lutego 1849 r. Lelewel dopisał się do listu L. Lublinera do K. Marksa jako redaktora „Neue Rheinische Zeitung”, zawierającego ostrzeżenie przed policyjnym prowokatorem; gazeta list ten wydrukowała 3 lutego 1860 r. K. Marks wspominał, że od 1848 r., kiedy to pewien Polak przywiózł mu do Kolonii rekomendacyjny list historyka, nie miał z nim żadnych kontaktów, zwrócił się do Lelewela w związku z oszczerstwami, z jakimi spotkał się ze strony Karla Vogta. Przypominał Lelewelowi dawne stosunki, jakie go z nim łączyły i prosił o prywatny list, w którym historyk zapewniłby go o swojej przyjaźni i dał świadectwo tych „honorowych stosunków”, które on — Marks — utrzymywał z polską emigracją podczas swego pobytu w Brukseli. Historyk pismem ze stolicy Belgii z 10 lutego 1860 r. zadowolonym spełnił to życzenie. Marks wykręcił potem jego list w swej polemice z Vogtem, wspominając przy tej okazji w ciepłych słowach o polskim historyku. Zagadnieniem, które zastępuje na osobne rozpatrzenie, jest sprawa znajomości przez Marksa i Engelsa francuskiej syntezy historii Polski pióra Lelewela, oraz wpływu koncepcji lelewelskich na poglądy autora „Kapitału” na dzieje Polski i sprawę polską, szczególnie wyraźnego w Marksa niedokończonych „Beiträge zur Geschichte der polnischen Frage” z lat 1863 — 1864.

O MARZENIACH

Najpierw były podróże palcem po mapie, postoje we wskazanych na chybli trafili portach. Potem, gdzieś tam na wybieżce w terenie, ktoś przekornie zapytał: — A może jednak pojechalibyśmy do tej Afryki? Pewnie, że tak, powiedzieli i po trzech dniach mieli gotową dokumentację. Porządna dokumentacja z celem wyprawy, dokładnym planem, zadaniami badawczymi. Stać ich było na to. Na długo przed studiami w uniwersytecie pracowali w kołach naukowych, chodzili na zebrania Polskiego Towarzystwa Przyrodniczego. Niektórzy z nich, jak Jurek Nadolski, Asia Wojciechowska i Mirek Karolak, byli laureatami olimpiad biologicznych. Dobrze zatem wiedzieli, czego należy w Afryce szukać i jakich okazów biologicznych brakuje w Łodzi. Przez trzy miesiące pobytu w Afryce zamierzali zebrać eksponaty, które zasiliłyby przede wszystkim pracownię uniwersytetu, łódzkich szkół i muzeów, służyły jako materiały poglądowe i pomoce naukowe. Planowali jechać do Kenii i Tanzanii, do najciekawszych z ich punktu widzenia terenów afrykańskich. Powołali 20-osobowy sztab przygotowujący wyprawę, nie wiedząc, że stała przed wielką próbą. To było trzy lata temu.

O WYTRWAŁOŚCI

Szczerze mówiąc, mało kto wierzył, że pojedą. To nierealne, mówili jedni. Wyprawa nie ma żadnych szans powodzenia, nie przebrnie przez przeszkody organizacyjne i ekonomiczne, dodawali drudzy. Zobaczymy, odpowiadała Asia, którą wybrali szefem organizacyjnym wyprawy, i spokojnie dzieliła pracę. Dopiero teraz mogli się przekonać, co wzięli na swoje barki. Trzeba było postarać się o sprzęt, pomoce naukowe, żywność, załatwić przejazd, a przede wszystkim zebrać pieniądze. Siedzieli i kalkulowali. Przeliczali wydatki po kilkudziesięciu razy z rzędu, żeby było najtańsze. I ani rusz nie wychodziło mniej, niż milion złotych. Zaczęli więc od uczelni i Zarządu Łódzkiego SZSP. Pomoce finansową ofiarowały im także zakłady pracy w zamian za reklamę w folderze. Przyjmowali każdą pomoc „w naturze”: odzież, żywność, sprzęt turystyczny. Samochód

„Star 66”, bez którego nie mogliby się poruszać w Afryce, zawdzięczają wojsku, sprzęt turystyczny „Czuj-Czynowi”. Życiową ręką dokładali do wyprawowej skarbonki wojewodowie najbliższych województw, a także wojewoda kaliski, którego pozyskał dla wyprawy jego krajan Mirek Karolak. Pomocia udzieliły wyprawie także władze szkolne, zobowiązując

NA
AFRYKAŃSKIM
SZLAKU

jednocześnie młodych biologów do upowszechnienia po powrocie rezultatów wyprawy w łódzkich szkołach.

Dziś piszę: zebrali sprzęt, żywność, kupili bilety na statek. Wtedy oznaczało to dziesiątki telefonów, wizyt, a nawet podróży po Polsce do producentów, ofiarodawców i urzędów. Bywało tak, że kilka dni spędzali przy telefonie, czekając na połączenia z Gdynią. Nieraz zdawało się, że wszystko na nic. Z 20-osobowego sztabu zostało 11 osób, które dzieliły trud przygotowań. Na rok przed wyjazdem wybrali szefów: Jurka Nadolskiego i Joasię Wojciechowską. Zwyczajem turystycznych wypraw resztę grupy dobrali wodzowie. Długo zastanawiali się zanim zaproponowali wyjazd biologom: Piotrowi Frankiewiczowi, Mirkowi Karolakowi, Markowi Wanatowi i Sławkowi Szafranskiemu z archeologii.

Niektórzy z tych pominiętych obrazili się pewnie na we śmiertelnie, szukali możliwości zmiany decyzji, starali się was przekonać, że można inaczej? — pytam.

Nie podobno — Jurek jest ufny w swoją psychologiczną znajomość ludzi. — Ci, którzy zostali, podporządkowali się decyzji i bardzo nam pomagali. Sami nie daliśmy się przekonać rady. Trzeba dodać, że normalnie uczęszczaliśmy na zajęcia i wykłady. O urlopie na uczelni wystąpiliśmy dopiero przed samym wyjazdem.

Nie tak łatwo było znaleźć

lekarza. Szukali specjalisty chorób tropikalnych, zamilowanego turystę i biologa. Po długich poszukiwaniach znaleźli odpowiedniego kandydata — Pawła Królikowskiego z Warszawy. To samo z kierowcą. Nie każdy, tak jak Andrzej Kravczyk z Uniwersytetu Łódzkiego, chciałby prowadzić „Star” po zakurzonych drogach Afryki.

Baza wyprawy mieściła się w domu szefa. Rodzice Jurka przyglądali się początkowo z rezerwą, a potem — tak jak rodziny wszystkich pozostałych — stanęli po stronie młodzieży. Tolerowali bałagan, długie godziny spędzone przy telefonie, zwirowany tryb życia. Razem przeżywali każde niepowodzenie, radzili, pocieszali. Niejednokrotnie zdarzało się, że brak jednego zezwolenia czy podpisu przekreślał tyle miesięcy starań. I gdyby nie pomoc Wydziału Nauki i Oświaty KŁ PZPR, pewnie tak by się stało. W ostatniej chwili musiał zrezygnować z wyjazdu, ze względu na ciężką chorobę w rodzinie, opiekun wyprawy, dr Józef Kurowski. Zdecydowali, że pojedą sami. 6 października 1979 roku wypłynęli wreszcie ze Szczecina na statku „Gdynia II”, aby po przeszło dwóch tygodniach podróży dotrzeć do Lagos. Rozpoczęli podróż po Nigerii i Kamerunie.

O PRACOWITOŚCI

To była naprawdę ciężka praca. W gorącym, wilgotnym klimacie, do którego musieli przywyknąć, w kraju pełnym niespodzianek, musieli żyć z wyjątkową uwagą, aby nie przeoczyć niczego, co ich interesowało. Po to przecież tam pojechali. Efekty: 8—10 tysięcy owadów, wśród nich wiele rzadkich okazów. Przywieźli również 150 ryb, sporo krabów, jaszczurek, nietoperzy i węży. Asia i Jurek wyciągnęli z formaliny specjalnie dla mnie i fotoreportera, zieloną mambę — jednego z najbardziej jadowitych węży Afryki. Długi na dwa metry, wyglądał zupełnie niegroźnie, ale byliśmy zadowoleni, że oglądamy go z daleka. Przywieźli też spory zieleniak. Początkowo mieli duże kłopoty z suszeniem roślin w wilgotnym klimacie. Po tem jakoś sobie poradzili i do kraju dotarli pięknie zasuszone rośliny i owoce. Najpiękniejsze są jednak motyle, jakieś 300—400 sztuk, które Jurek za-



Wodzowie wyprawy: Jurek Nadolski i Asia Wojciechowska.

Foto: R. Łucyszyn

czynia teraz preparować.

Przy każdej okazji starali się o zbiory archeologiczne i etnograficzne. Dostawali je za pudełko kremu „Nivea”, kostkę mydła, kolorowy kreton. W ten sposób stali się posiadaczami instrumentów muzycznych, broni, strojów, narzędzi rolniczych, a także przedmiotów kultury. Ekspozatów wystarczy na wyposażenie całej chaty murzyńskiej. Wszystkie te cuda stanowią własność Uniwersytetu Łódzkiego. Część z nich zostanie przekazana Muzeum Archeologicznemu i Etnograficznemu, część — Muzeum Ewolucjonizmu.

O PRZYJAZNI

Wrócili z wyprawy jeszcze bardziej zaprzyjaźnieni. Nie pokłócili się, jak to się często zdarza ludziom skazanym na stałe przebywanie ze sobą, wystawionym na niejedną ciężką próbę.

— Baliśmy się tego samego — zwierza się Mirek. — Ale okazało się, że najwyższe spiemy się o drobnizgi, na przykład o to, kto chciałby jaką żupę na obiad. W rezultacie ustaliliśmy, że decyzję lekarza i dyżurnego są niepodważalne. Masz dyżur, gotujesz co chcesz,

i tyle. Ja będę rządził, kiedy przyjdzie moja kolej. Nie było też odważań od decyzji szefa. Dyskutować i radzić można było przed podjęciem postanowienia. W ten sposób zlikwidowaliśmy nawet drobne nieporozumienia.

Przyjechali bogatsi nie tylko o poznanie afrykańskiej przyrody i realiów, tak ważnych dla każdego biologa. Przyjechali bogatsi o doświadczenia społeczne. Gdyby mieli drugi raz jechać, pojechaliby w takim samym gronie. Spotykają się razem do dziś dnia, opracowują zbiory, przygotowują wystawy. W październiku planują wystawę w Muzeum Archeologicznym i Etnograficznym. Zamierzają też wygłosić prelekcję i pokazać eksponaty w zakładach, które pomagały im przy wyjeździe. Chcą w ten sposób pokazać, jak skorzystali z udzielonej im pomocy. Będą też mieli cykl spotkań z młodzieżą szkolną. O uczestnikach wyprawy były już wiadomości w prasie, radiu i w dzienniku telewizyjnym. Myślę jednak, że nie zważając na skromność, powinni z większym rozmachem reklamować rezultaty swoich badań. Chciałoby dlatego, aby

przekonać przeciwników studentek wypraw. Nie dziwię się zresztą oponentom. Są przecież i takie wyprawy, które wracają z niczym, a ich program naukowy grzeszy banalnością. Prawda jest, że organizatorzy skłócają całe zespoły i wykorzystują hojność ofiarodawców.

— A przecież można tego uniknąć. — Jurek Nadolski, szef wyprawy, z której uniwersytet może być dumny, uśmiechał się nad tym problemem nie jeden raz. Kandydatów na wyprawę jest coraz więcej. Potrzebna jest więc staranna selekcja, tu na miejscu. Konkurencję powinny wygrywać wyprawy starannie przygotowane, z rzeczowym, dokładnym planem badawczym. I dla takich warto zapalić zielone światła. Ale tylko dla tych, którzy jeszcze na etapie przygotowań zwyciężą w konkursie propozycji. Namawiałbym wszystkich moich młodszych kolegów, aby spróbowali swoich sił uczestnicząc w takiej wyprawie — kończy szef ekspedycji, który po powrocie do Łodzi, myślami ciągle jest jeszcze w Afryce.

MALGORZATA GOLICKA

I Forum — instytucja powołana do życia w czasie wizyty I sekretarza KC PZPR, Edwarda Gierka w RFN w 1976 r. — odbyło się w Bonn, drugie w Olsztynie. Od III Forum PRL — RFN w Darmstadt, które odbywało się w dniach 12—15 maja 1980 r. minął już miesiąc, jednak dopiero teraz przystępuję do jego omówienia. Między innymi dlatego, że chciałem przeczytać pierwsze komentarze zachodniomniemieckiej prasy, pomijając oczywiście organy rewizjonistyczne, bo „te zawsze na jedną antyodprężeniową nutę...”

Nadburmistrz Darmstadt (Hesja), poeta i działacz kulturalny, także przewodniczący działającego tu od niedawna Instytutu Polskiego (kierowanego przez znanego tłumacza literatury polskiej Karla Dedeciusa) — do przyjęcia uczestników forum przygotował miasto niezwykle uroczyste i gościnne. Przed, jak i w czasie forum odbywały się liczne imprezy kulturalne z wyjątkowymi akcentami polskimi. Władze miasta ufundowały, z własnych funduszy nagrody, dla przykładu — dla zwycięzców rozpisanego przez miejscowe Towarzystwo Chopinowskie konkursu dla kompozytorów polskich...

W czasie III Forum — tak jak i w poprzednich dwóch — spotkały się grupy działaczy politycznych i gospodarczych, posłów, prawników i dziennikarzy, by przedyskutować raz jeszcze w kontekście układu z grudnia 1970 r. — proces normalizacji stosunków, ocenić jego wyniki, jak i wyprowadzić wnioski na przyszłość.

Forum wypadło w okresie szczególnym: zbliża się dziesiąta rocznica zawarcia układu podstawowego między naszymi państwami, w październiku mają się odbyć wybory do Bundestagu. No i trzeba dodać, że istniejąca napięta sytuacja międzynarodowa nie ma charakteru sprzyjającego dla tego typu i podobnych spotkań dwustronnych, odbijając się najczęściej na ich atmosferze.

Na początku, do uczestników spotkania wystosowali depesze Edward Gierk i Helmut Schmidt. „Zwrot w stosunkach między Polską a Republiką Federalną Niemiec — czytamy w liście polskiego przywódcy — był możliwy tylko w warunkach rozwijającego się w Europie procesu odprężenia. Równocześnie układ i porozumienia zawarte między naszymi

państwami, stanowiły istotny nurt tego procesu, element struktury pokoju na naszym kontynencie...”. „Dialog między obu państwami — pisał Helmut Schmidt — jest dowodem wspólnego zainteresowania obu narodów w utrzymaniu i w dalszym rozwoju polityki odprężenia”.

O korzyściach wynikających z nawiązanej współpracy mówił na otwarciu obrad główny referent polityczny ze strony RFN, minister stanu w bönńskim MSZ — Klaus Dohnanyi: „w roku 1970 obroty handlowe zachodniomniemieckie wyniosły zaledwie 1,4 mld marek, w roku 1979 wzrosły ponad trzykrotnie osiągając prawie 4,7 mld marek, zaś

w tymże samym roku eksport polski do RFN zwiększył się do tego stopnia, iż Polska znajduje się blisko celu, którym jest wyrównanie bilansu handlowego”.

Można tu wspomnieć o rozwoju na płaszczyźnie turystycznej: w 1979 r. odwiedziło Polskę 300 tys. obywateli RFN, czyli dziesięć razy więcej niż w 1970 r. zaś Polaków wyjeżdżających było ponad 200 tys. czyli mniej więcej 9 razy tyle co przed 10 laty, Klaus Dohnanyi dodał, że „sprawa normalizacji stosunków z Polską znajduje poparcie nie tylko partii koalicji rządowej SPD/FDP, lecz również szerokiego kręgu społeczeństwa Niemiec Zachodnich”.

I tu się kończą właściwie optymistyczne fragmenty dyskusji na forum. Kierownik Wydziału Zagranicznego KC PZPR — Wacław Piątkowski stwierdził, że okres dziesięciu lat jaki upłynął od podpisania układu o podstawowej normalizacji stosunków między PRL a RFN zapisał się szeregiem pozytywnych, ale wiele problemów wymaga jeszcze rozwiązania. Istnieje konieczność dostosowania zarówno prawa wewnętrznego jak i praktyki politycznej w RFN do litery i ducha układu, który jest nadal zasadniczym kryterium stosunków sił politycznych i społeczeństwa RFN do procesu odprężenia i normalizacji stosunków między Polską a RFN. Krytycznie ocenić należy brak istotniejszych postępów w dziedzinie realizacji zaleceń przyjętych przez

wspólną komisję do spraw rewizji podręczników szkolnych.

I wokół tych spraw rozgorzała dyskusja. Według hrabiny Marion Donhoff — wypowiedź zamieszczona w hamburskim „Die Zeit” z 23 maja 1980 r. — „nie było dyskusji, tylko agresywne monologi”. Można przyznać na pewnej części rację pani Donhoff. Wypowiedź jej kończy się pesymistycznym stwierdzeniem, a właściwie zapytaniem: czy zorganizowanie forum miało sens? Przypominam jednak dyskusję toczącą się dwa lata temu na łamach wspomnianego „Die Zeit” z udziałem m. in. hrabiny, Siegfrieda Lenza i polskiego dziennikarza Adama Krze-

OGROMNY DOROBK, ALE...

mińskiego. Tam hrabina była odmiennego zdania, dowodziła: że postęp w normalizacji wzajemnych stosunków jest widoczny; trzeba najpierw nauczyć się znówu obcowania z sobą, któremu nie towarzyszyłaby ciągle myśl o przeszłości lub oczekiwaniu, że się będzie o niej myślało; jest wiele przykładów z historii stosunków polsko-niemieckich, świadczących o wzajemnym przenikaniu kultur, o pozytywnych przejawach współzycia Polaków i Niemców”. Hrabina w czasie forum też by nie chciała mówić tylko o pozytywnych przejawach współpracy, ale i z trudnością zauważała te akcenty, które nie wpływają pomysłnie na rozwój wzajemnych stosunków.

Chodzi o podstawowe dla pomyślnego rozwoju stosunków sprawy, przede wszystkim: kiedy wreszcie RFN wprowadzi w swój system prawa wewnętrzne konsekwencje wynikające z zawartego układu, a przez to zniknie z obszaru społecznego i politycznego podstawa prawna dla poczynających rewizjonistycznych kół wykorzystujących każdą istniejącą lukę prawną lub korzystającą przesłankę dla realizacji swoich celów. Kiedy istniejące w tym państwie przepisy prawne przestaną doprowadzać — używając słów Klause Dohnanego — „do absurdalnych skutków konstrukcji prawnych”.

Zasygnalizuję niektóre przykłady tych absurdalnych sytuacji. Artykuł I układu między Polską a Republiką Federalną Niemiec o podstawach

normalizacji ich wzajemnych stosunków mówi o uznaniu zachodniej granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej, a strony układu potwierdzają nienaruszalność „teraz i w przyszłości, i zobowiązują się wzajemnie do bezwzględnej poszanowania ich integralności terytorialnej”, a także, że „nie mają żadnych roszczeń terytorialnych wobec siebie i nie będą takich roszczeń wysuwać także w przyszłości”. Inaczej jednak wygląda praktyka społeczno-polityczna w RFN. Obecnej sytuacji próbuje się nadać w literze prawa charakteru „modus vivendi” czyli przejściowego, opierając się na tezie o rzekomej jedności narodu niemieckiego (Einheit der deutschen Nation) i wskazując na ciągłą otwartość kwestii niemieckiej (offene deutsche Frage) wynikające jakoby z nakazu konstytucji RFN i orzeczeń Federalnego Trybunału Konstytucyjnego, a także podtrzymywanie w oparciu fikcji prawnych o rzekomym nieprzerwanym istnieniu rzeszy niemieckiej w granicach z grudnia 1937 roku. Na forum mówił o tym docent Janicki z Instytutu Zachodniego w Poznaniu, obalając tezy przedstawione przez członków CDU Philippa von Bismarcka i Antona Pfeifera.

Także artykuł 25 konstytucji RFN mówi, że na terenie RFN zasady i normy prawa międzynarodowego mają moc obowiązującą i stanowią część składową prawa państwowego, w stosunku do którego mają charakter nadrzędny. Przepis ten najzupełniej dowodzi sprzeczności w teorii i praktyce w stosowaniu prawa wynikającego z ustawy zasadniczej.

W sprzeczności z duchem układu z 1970 r. jest działalność ziomkostw, wspierana zgodnie z § 98 Federalnej ustawy o wygnaniach poprzez subwencje i dotacje państwowe z kasy federalnej i rządów krajowych.

Jednym z dyskutowanych raz jeszcze problemów na forum była sprawa zaleceń podręcznikowych wspólnej komisji polsko-niemieckiej. Artykuł 4 zawartej między rządami PRL — RFN umowy o współpracy kulturalnej (nie ma ona do tej pory przepisów wykonaw-

czych) z 11 czerwca 1976 r. mówi, że oba państwa będą działać w tym kierunku, „by uwzględnione zostały zalecenia Wspólnej Komisji do spraw Podręczników Szkolnych w sprawie sprawi wychowania młodzieży”. Wiele jednak obszarów historycznych z winy strony niemieckiej nie zostało oczyszczonych, co jest przecież warunkiem powstania właściwej atmosfery i sprzyjającego ducha dalszych kontaktów. Części uczestników forum ze strony niemieckiej nie trafiły do przekonania argumenty strony polskiej. Także argumenty oficjalne typu: „rząd o tym nie może zdecydować ponieważ prawo wewnętrzne landów stanowi inaczej” — przesłaniają podejmowane kroki w kierunku realizacji zaleceń. A przecież taka praktyka stanowi jawne naruszenie zasad prawa międzynarodowego, jest sprzeczna z Aktem Kończącym KBWE jak i przyjętymi przez ONZ zasadami wychowania w duchu pokoju. Dwa dni przed rozpoczęciem forum pisał o tym w „Die Zeit” młody historyk Karl-Heinz Jansen, biorąc jako przykład Bawarię: „Jeśli Bawaria postawi na swoim mapy Niemiec w naszych podręcznikach i atlasach szkolnych używanych w poszczególnych krajach federalnych będą niebawem różniły się od siebie. W zasadzie już w nowym roku szkolnym nie miało się dopuszczać do użytku w szkołach bawarskich żadnych atlasów, w których linia Odra — Nysa, granice Rzeszy z roku 1937 i granica wewnętrzniemiecka nie byłyby zaznaczone w szczególny sposób...”

Na forum szczególnie uwidoczniło się jakie partie mają za złe istnieniu komisji. Chociaż — zgodnie z wywiadem udzielonym niedawno przez przewodniczącego ze strony RFN komisji podręcznikowej, dr Mertineitena — we wspomnianej Bawarii można spotkać też przykłady, że „setki nauczycieli zgadzają się z zaleceniami i nie tylko nie pytają nikogo czy wolno je wprowadzić czy nie, lecz je wprowadzają w życie i nikt w tym im nie przeszkadza”.

W czasie trwania forum ujawniło się wiele rozbieżności, co wcale nie przesłania istotnych osiągnięć i ogromnego dorobku 10-lecia istnienia układu.

WACŁAW OPACKI

Do gabinetu Stalina wszedł jego stały sekretarz Poskrebyszew. Pokryta niezdrową żółcią twarz, przymglone i wpadnięte oczy mówiły o ciągłych nocnych czuwaniach i nadzwyczajnych troskach.

— Timoszenko, Zukow i Watutin — zameldował cicho.

Przez ułamek sekundy Stalin patrzył na przybyłego nieobecnym wzrokiem, jakby nie miał sił wyzwolić się spod gniotącego ciężaru przywidzeń, a następnie, ocknąwszy się, potakująco skinął głową.

Poskrebyszew wyszedł po zapowiedzianych, których Stalin oczekiwał najwidoczniej ze zdenerwowaniem.

Przez otwarte okno skośnym strumieniem wpadało do gabinetu słońce, kładąc się na dywanie purpurową, niczym tłącą się plamą. W szerokim promieniu leniwie pływały, układające się w przedziwne wzory, kłęby tytoniowego dymu. Do gabinetu wszedł Timoszenko, Zukow i Watutin. Twarze marszałków i generałów pozostawały mroczne, skupione, wyrażające przygnębienie i determinację.

Stalin wyszedł zza biurka, uściślił dłoń marszałka Timoszenki, generała armii Zukowa i generała-lejtnanta Watutina. Następnie podniósłszy głowę i pytająco spoglądając w twarz wysokiego Timoszenki, cicho zapytał:

— A czy przypadkiem nie podrzucił nam niemiecki generałowie tego zbiega, żeby sprowokować konflikt?

— Nie — zdecydowanie i z jakąś rezygnacją odpowiedział marszałek, nie czując skrepowania, płynącego z faktu, że patrzy na Stalina z góry — Jesteśmy przekonani, że zbieg mówi prawdę. Wiele innych doniesień potwierdza jego informacje.

Założwszy rękę za plecy, Stalin opuścił głowę, jakby szukał czegoś na dywanie, a następnie wrócił do biurka, usiadł w fotelu i wziął leżącą na popielnicy fajkę. Nie zapalił jej wszakże, a jedynie skierował zamysłone spojrzenie najpierw na marszałka Timoszenkę, potem zaś na Zukowa i Watutina.

Milczenie stawało się męczące przygniatające. W tym momencie do gabinetu zaczęli wchodzić członkowie Biura Politycznego — Kalinin, Mołotow, Woroszyłow, Mikołajew. Pewnie dlatego, że wszyscy dziś już widzieli się ze Stalinem, bądź rozmawiali z nim przez telefon, nikt nie witał się podaniem ręki. Jedynie kiwnąwszy głową podchodził do długiego stołu, zajmującego sporą część gabinetu, wzdłuż jego prawej ściany, i milcząc śladał na krześle. Pełne trwogi, napięte milczenie. Wszyscy wiedzieli, o czym za chwilę będzie mowa.

Wprawny ruchami palców Stalin rozkruszył dwa papierosy, nabijając tytoniem fajkę. Kilkakrotnie posłał czarny ustnik, a następnie spojrzawszy na fajkę z pełnym obrzydzenia rozdrażnieniem odłożył ją do popielniczki. Wyprostowawszy się w fotelu, obrzucił zebranych przeciągłym spojrzeniem, zwracając się do członków Biura Politycznego jakoś bardzo zwyczajnie i spokojnie. Przedstawił ostatnie doniesienia z granicy.

— Co mamy zrobić? — spytał po niezbyt długiej pauzie.

Obecni milczeli. Stało się zrozumiałe, że w życiu państwa nastąpił moment krytyczny. I to niebawem trudne, a równocześnie całkowicie jasne pytanie wymagało nie zwyczajnej odpowiedzi, lecz odpowiedzi — decyzji.

Ponownie prześlizgnąwszy się wzrokiem po skupionych, pomroczyńskich twarzach członków Biura Politycznego, Stalin zwrócił się do marszałka Timoszenki, powtarzając pytanie z pewnym naciskiem:

— Co mamy zrobić?

— Należy natychmiast wystać dyrektywę, nakazującą doprowadzenie do pełnej gotowości bojowej wojsk wszystkich przygranicznych okęgów! — odpowiedział ludowy komisarz obrony, pokonując zdenerwowanie.

— Proszę czytać — powiedział Stalin, wymownie popatrzawszy na czerwony skoroszyt, trzymany w pogotowiu przez generała armii Zukowa, siedzącego między Timoszenką a Watutinem.

Zukow otworzył skoroszyt, wstał i — odmierzając każde zdanie — głośno, wyraźnie, jak gdyby wydając rozkazy dowódców okęgów i armii zaczął odczytywać projekt dyrektywy. Krępy, wyprostowany, całym swym wyglądem — zdecydowanym, lekko wysuniętym do przodu podbródkiem, śmiały łukami brwi nad oczami, patrzącymi surowo i wymagająco, zdecydowaną intonacją głosu nawiąującego do rozkazowania — zdawał się ucieleśniać najwyższą i nieugiętą władzę w armii. Czuło się, że Zukow, czytając dokument, niemal dosłownie widzi, jak kolejno rozwijają się w bojowy szły fronty i armie, jak zajmuje ogniowe pozycje artyleria, jak przygotowują się do działań bojowych pułki lotnicze.

Gdy Zukow skończył czytać, Stalin opuścił głowę, zabębnił palcami po stole i po krótkim namyśle stwierdził:

— Wydawanie takiej dyrektywy jest przedwczesne. Być może problem

da się jeszcze rozwiązać drogą pokojową — popatrzył w stronę siedzących za stołem członków Biura Politycznego, jakby szukając u nich poparcia. — Trzeba wydać krótką dyrektywę — rozwijał swą myśl Stalin, zauważywszy potakujące skinienie głową Woroszyłowa — w której należy wskazać, że agresja może zacząć się od prowokacyjnych działań oddziałów niemieckich. Wojska przygranicznych okęgów nie powinny reagować na jakiegokolwiek prowokację, by nie doprowadzić do komplikacji.

Zukow niecierpliwie, pytająco i trwożnie spojrział na marszałka Timoszenkę. Ten zrozumiał skierowany ku niemu wyrok i zwrócił się do Stalina:

IWAN STADNIUK

OSTATNIA DYREKTYWA

— Towarzyszu Stalin, czas nagli... Pozwólcie od razu, tutaj przygotować nowy projekt dyrektywy.

— Oczywiście — zgodził się Stalin i poczekawszy aż Zukow z Watutinem spiesznie opuszcza gabinet, by w sąsiednim pokoju zasiąść do pilnej pracy, spytał Mołotowa: — Kiedy przybędzie niemiecki ambasador?

— O pół do dziesiątej, towarzyszu Stalin — odpowiedział Mołotow.

Zukow z Watutinem wrócili do gabinetu dostatecznie szybko. Czasu rzeczywicie było mało.

— Pozwólcie zameldować? — zapytał generał armii, przybliżając się do biurka Stalina.

— Proszę — odparł.

Zukow otworzył trzymany w rękach skoroszyt i podnosząc głos zaczął czytać.

„Do wojennych rad Leningradzkiego Okręgu Wojskowego, Nadbałtyckiego Samodzielnego Okręgu Wojskowego, Zachodniego Samodzielnego O-

kręgu Wojskowego, Kijowskiego Samodzielnego Okręgu Wojskowego, Odeskigo Okręgu Wojskowego... Kopia: ludowemu komisarzowi Floty Wojenno-Morskiej...”

Następnie dyrektywa wskazywała, że w ciągu 22-23 czerwca możliwa jest niespodziewana napaść Niemców na odcinkach wszystkich wymienionych okęgów i że agresja może się rozpocząć od prowokacji. Przed wojskami stawiano zadanie niereagowania na jakiegokolwiek prowokacyjne działania, jak również przyjęcie w pełnej gotowości bojowej możliwego nagłego uderzenia Niemców lub ich sojuszników.

Zukow zrobił pauzę, popatrzył na Stalina, na marszałka Timoszenkę i

poszczególne obiekty; e) żadnych innych decyzji nie podejmować bez specjalnego rozkazu. 21 czerwca 1941 roku.”

Zukow zamilkł, przysiadł na krześle, patrząc z boku na Stalina, który chwilę się zawahawszy, wyciągnął rękę do generała, wziął od niego skoroszyt, położył przed sobą na biurku i zaczął uważnie czytać sporządzony odręcznie dokument, trzymając w pogotowiu czerwony ołówek. Gdy doszedł do zdania „Zadaniem naszych wojsk jest niereagowanie na prowokację” zrobił z kropki przecinek i dopisał: „mogące wywołać poważne komplikacje”.

Gdy skończył czytać, zapytał członków Biura Politycznego czy wszyscy

— westchnawszy — zdecydowanie, lecz spokojnie powiedział:

— Rozkazuję...

Głęboka cisza gabinetu stała się niemal przezroczyta. Z chłodną kategorycznością, niczym odlane z ciężkiego metalu, padały w nią tylko słowa rozkazu:

„a) w ciągu nocy na 22 czerwca 41 roku skrycie zająć punkty ogniowe umocnionych rejonów na granicy państwa;

b) przed świtem 22 czerwca 41 roku rozlokować na polowych lotniskach całe lotnictwo, w tym również wojskowe, i starannie je zamaskować;

c) wszystkie jednostki doprowadzić do gotowości bojowej. Wojska utrzymywać rozproszone i zamaskowane;

d) doprowadzić do gotowości bojowej obronę przeciwlotniczą bez dodatkowej mobilizacji przewidzianego składu etatowego. Podjąć odpowiednie działania, przygotowujące do wprowadzenia zaciemnienia miast i

zgadzają się z dyrektywą, a nie usłyszawszy sprzeciwów przekazał skoroszyt marszałkowi Timoszenko.

Dyrektywę podpisali Timoszenko i Zukow. Generał-lejtnant Watutin natychmiast zabrał ją do sztabu generalnego, by stamtąd przekazać do okęgów wojskowych.

Punktualnie o dwudziestą pierwszą trzydziestą do gabinetu zastępcy przewodniczącego Rady Komisarzy Ludowych, ludowego komisarza spraw zagranicznych weszli: ambasador niemiecki von Schulenburg ze swym tłumaczem — radcą ambasady niemieckiej Hilgerem — oraz tłumacz radziecki. Mołotow wyszedł zza biurka na spotkanie dyplomatów, uścisnął im ręce.

Hrabia Schulenburg był w czarnym fraku, pachniał cygarami i koniakiem. Ciałym swym wyglądem i swo-

bodnym zachowaniem starał się demonstrować beztroskę oraz pewne zdumienie zaproszeniem na Kreml o niezwyklej porze. Ale za udawaną niefrasobliwością Mołotow dostrzegł w jego oczach, w głosie, w gestach skrepowanie. Chuderlawy Hilger również nienaturalnie się garbił, tał w spojrzeniu zakłopotanie, a nawet lęk, jakby to nie Niemcy grozili wojną Związkowi Radzieckiemu, lecz na odwrót.

Mołotow poprosił dyplomatów, by siedli, po czym przeczytał im notę rządu radzieckiego, która dziś rano została przekazana ambasadorowi radzieckiemu w Berlinie. Równocześnie wyraził zdziwienie, że ani minister Rzeszy pan Ribbentrop, ani jego pierwszy zastępca, sekretarz stanu Weizsacker do tej pory nie znaleźli czasu, by przyjąć przedstawicieli radzieckiej ambasady. Mołotow prosił niemieckiego ambasadora o natychmiastowe skontaktowanie się z rządem, celem przekazania mu noty rządu radzieckiego. Następnie zapytał czy pan Schulenburg nie zechciałby powiedzieć, jakie pretensje żywią Niemcy do Związku Radzieckiego, czym należy tłumaczyć pogłoski o bliskiej wojnie między Niemcami a ZSRR, jak również dlaczego rząd niemiecki nie zareagował na pokojowe oświadczenie TASS z dnia 14 czerwca?

Sluchając tego Friedrich Schulenburg żałośnie wzdychał, bezradnie rozkładał ręce, dając wyraźnie do zrozumienia, iż nie jest przygotowany do takiej rozmowy, ponieważ nie otrzymał wskazówek z Berlina.

Mołotow ze współczuciem patrzył na niemieckiego dyplomata. Schulenburg — stary pracownik niemieckiego wywiadu jeszcze w czasach carskiej Rosji był konsulem gdzieś na Kaukazie. Trochę mówił po rosyjsku. Nadal jednak pozostał jedynie wysokim urzędnikiem, nie osiągnąwszy poziomu mądrego polityka i doskonale poinformowanego dyplomaty.

Z trudem panując nad sobą, Mołotow próbował jeszcze zadawać pytania. Zobaczywszy wszakże w oczach Schulenburga brak wszelkiego zainteresowania szybko zakończył rozmowę.

Schulenburg i Hilger odjechali, być może sami nie wiedząc, że za kilka godzin ponownie znajdą się w tym gabinecie.

Po trzeciej w nocy, w podmiejskiej siedzibie Mołotowa rozległ się dzwonek telefonu. Sluchawkę podniósł dyżurny. Dzwoniono z Ludowego Komisariatu Spraw Zagranicznych.

Dyżurny obudził ludowego komisarza, meldując, że wzywa się go na Kreml. Ambasador niemiecki Schulenburg domaga się niezwłocznej decyzji, celem przekazania szczególnie ważnego i wyjątkowo pilnego memorandum rządu niemieckiego.

Mołotow doskonale wiedział, jakie to może być memorandum. Zatelefonował do Stalina.

Wkrótce też był już na Kremlu, w swym gabinecie, i milcząc wpatrywał się w pobladałą twarz niemieckiego ambasadora. Hrabia Schulenburg trzymał w trzęsących się rękach dokumenty i stojąc czytał na głos memorandum Hitlera, wypowiadając urywany głosem każde zdanie oddzielnie. Następnie czekał aż radca Hilger powtórzy je po rosyjsku...

W memorandum Hitler wysuwał pod adresem Związku Radzieckiego najbardziej niedorzeczne zarzuty. Twierdził, że to właśnie Związek Radziecki wódl wzmożoną koncentrację wojsk wzdłuż niemieckiej granicy, że jakoby to radzieccy żołnierze i samoloty wtargnęły na niemieckie terytorium.

Schulenburg wyjąwszy z kieszeni chusteczkę, już jej nie chował, często wycierając zlewana zimnym potem twarz. Chuderlawemu Hilgerowi nerwy całkiem odmówiły posłuszeństwa. Trzeba było przerwać czytanie na czas, gdy radca pił wodę, dzwoniąc zębami o szklankę.

Schulenburgowi i Hilgerowi z trudem przychodziło każde następne zdanie — owoc ordynarnego, topornego kłamstwa, przygotowanego w Berlinie. W memorandum stwierdzano się, że „naczelne dowództwo radzieckie przygotowuje się w każdej chwili zacząć działania wojenne na wielu odcinkach”, że „bolszewicka Moskwa gotowa jest zadać narodowo-socjalistycznym Niemcom cios z tyłu” i że „najgłębszym pragnieniem Hitlera jest „uratowanie całej światowej cywilizacji przed śmiertelnym niebezpieczeństwem bolszewizmu oraz wytyczenie drogi ku rzeczywistemu wzrostowi poziomu socjalnego w Europie...”

Tymczasem w gabinecie Stalina zebrali się członkowie Biura Politycznego, ludowy komisarz obrony Timoszenko oraz szef sztabu generalnego Zukow. Stalin milcząc przechadzał się. Wszyscy oczekiwali pojawienia się Mołotowa.

Przełożył: JERZY M. FIEDOSIEJEW

Tytuł publikowanego fragmentu powieści Iwana Stadniuka pt. „Wojna” (Wyd. „Sovremennik”, Moskwa 1977) pochodzi od tłumacza.



(Dalszy ciąg ze str. 1)

rajażące też bywają opowieści samych dzieci, a przecież i wychowawcy wiele mają do opowiedzenia.

Jak będzie teraz? Godzina 18.00. Wprawdzie do odjazdu jeszcze półtorej godziny, zaczyna się już jednak zbiórka. Tradycyjne miejsce spotkań — parking w al. Unii.

— Zakopane, Rzeszów, Czaplinek! To nie my! — odczytuje z przytwierdzonych do drzwi i słupów wywieszek mały harcerzyk, odprowadzany na dworzec przez mamę, tatę, siostrę i psa. — O, tutaj, są nasi! — wykrzykuje po chwili, rozpoznając koleżanki i kolegów, zbierających się w „sektorze”, opatrzoną koleijnym numerem i tabliczką: „Biały Bór”.

Godzina 18.45. Pierwsza grupa kolonistów przenosi się powoli na peron, gdzie podstawiony jest już pociąg. Wychowawcy i kolejarze dwoją się i troją, żeby chociaż sznurkiem, a nie dyscypliną wykrzesać z rodziców, których niesforne weszła już na stałe do rytuału pożegnania.

— Czy możemy już ładować dzieci? — niecierpliwie się kłóci z wychowawczynią. — Za chwilę! — odpowiada ktoś z obsługi. — Jeszcze w toalecie nie ma papieru! — Odpowiedź ta wpędza pyta-

— Agnieszka, tylko uważaj na gardło! Nie jedz za dużo lodów! — przestrzega troskliwa matka, wręcząc jej parę butelek „Pepsi-cola”.

— Oj, utraipienie z tymi dorosłymi! — wzdycha jeden z wychowawców. — Oni zostaną na stacji, a jak dzieciaki zaczną rygać, to my będziemy się martwić. — A głosniej dodaje: — No, rebiata, zamykamy okna, zaraz odjeżdż!

Godzina 19.30. Kierownik pociągu po raz ostatni lustruje swoje „gospodarstwo”. Okna pozamykane, drzwi zablokowane, na korytarzach spokój. Daje sygnał maszyniście, wskazując zaraz na stopnie wagonu.

Pociąg „Gagarin” — elektrowóz „ST-94”, prowadzony przez kolejarzy z Torunia, maszynistę Franciszka Margalskiego i pomocnika Edwarda Fiedler, nabiera szybkości. Toczy za sobą siedem czterostopniowych wagonów po dziesięć przedziałów każdy, w sumie ponad pół tysiąca miejsc, a dzieciaków niewiele ponad czterech setki. Komenda Chorzów Łódzkiej ZHP zrezygnowała ponoc z części rezerwy. Kolej na tym traci, lecz zyskuje dzieci, bo w przedziałach więcej miejsca.

— Durlano, ja chcę z druhenką! — prosi mały „zuzek” swą kilkunastoletnią opiekunkę, która dokonuje „przetrasowania” w sąsiednim przedziale. Przejęta swoimi obowiązkami z wdziękiem występuje w roli kwoki, do której garna się dzieci, jak małe kurczaki. A brzdące — większość ich

duktora, który przemaszerał znow pociąg. — Spokój! — odpowiada. Dzieciarnia rozlokowana wygodnie w przedziałach znalazła się na etapie kolacji.

„Czaplinek” — to środek pociągu. Setka dziewcząt i chłopców. W większości wychowankowie domów dziecka, jadący na kolonie wydziału oświaty z Polesia. Sympatyczne dzieciaki. Spora rozpiętość wieku, od zupełnych maluchów do nastolatów. Większość rozpięta radość i energia, więc rozrabiają nieco, strofowani od czasu do czasu przez opiekunów. Będymy jednak wyrozumiali: dla nich wyjazd na wakacje jest szczególnym świętem.

Początek pociągu zajmuje „Biały Bór” — głównie małe zuchy ze śródmiejskiego hufca ZHP. Ostatnie wreszcie przedziały — to dziewczęta i chłopcy ze skierniewickiej chorągwi ZHP. Niewiele ponad pół setki. Tylko oni dojadą z nami do Miastka.

Pociąg zatrzymuje się nagle w syku powietrza i pisku hamulców. Nie po raz pierwszy, tym razem jednak jakoś dziwnie. Dopiero po chwili uświadomiamy sobie przyczynę niepokoju: cisza po wyłączeniu silników. Kierownik uchyła okno — stoimy w szczytnym polu. Wychodzi więc kierownik na torowisko, aby dowiedzieć się, co się stało i zaraz krzyczy do nas: — Biegiem, hamulce zerwany!

Pędzimy z konduktorem przez cały pociąg, żeby w jego połowie znaleźć winowcę. Czołownik stawia odważnie czarnowłosa wychowawczyni, nie mniej zresztą spłoszona niż sam delikwent. — Przepraszam, strasznie przepraszam! Chłopiec chciał zapalić światło i chwycił za rączkę hamulca!

Na szczęście jest już Mieczysław Frandzel, który otwiera szafkę na pomoce i usiłuje zamknąć zawór. Trwa to dobrą chwilę, pot występuje na czoło kierownikowi: zawór uparł się. Uff! Wreszcie. Sygnał do maszynisty i ruszamy dalej.

Czy pani wie, ile kosztuje taka przyjemność? — z groźną miną pytam niefortunną wychowawczynię. — Wiem, dwa tysiące! — odpowiada potulnie. — Nie, proszę pani, dwa i pół! — prostuję okrutnie. Z satysfakcją też stwierdzam, że kto, jak kto, ale ona wierzy święcie, że jest z kolei. Odchodzi, żeby nie wypaść z roli, bo przecież przed momentem w czasie narady naszej drużyny zapadł uścisławiający wyrok. Sam „szef” stwierdził, spoglądając na chronometr: — Ponieważ nie ma żadnego opóźnienia z tego powodu, bo i tak musimy swoje odstąpić pod semaforem, nie spisujemy protokołu. Po co robić dziewczynie kłopot, a bo to jej wina? Trudno upilnować każdego urwisia!

Godzina 22.00. W przedziale zatrzymuje mnie dwudziestoparoletnia blondynka: — Czy pan pracuje na kolei, czy może w kuratorium? — I uśmiecha się ironicznie. — A dlaczego pani pyta? — Bo sieje pan niepokój! — A ja sądziłem, że sieje spokój. Pilnuję was przecież jak oka w głowie! — Właśnie: za bardzo! — A pani skąd? — Z Czaplinek! — Pytam, gdzie pani pracuje? — Szukam pracy. — Nie rozumiem. — Ta kolonia, to zajęcie dorywcze. Zwołaliśmy się z ostatniego miejsca: znalazła mi się praca w biurze. A za coś żyć przecież trzeba.

Kierownik tonie w papierach. Raporty, zestawienia, meldunki, rozkazy. I ciągle spoglądanie w rozkład jazdy, obserwowanie całej trasy i własnego zegarka. Ciągłe wypełnianie rubryk i rubryczek, nanoszenie danych. Do tego — wysiłek na każdym postoju, dać sygnał maszyniście czy dyżurnemu, odebrać na wyznaczonej stacji rozkaz i przekazać raport. Ogromna dokładność i bezwzględna dyscyplina wymagana od całej obsługi. Leci na miejscu i tej na trasie. Rozpacz człowieka ogarnia, kiedy zestawili wysiłki ludzi z efektem ich pracy.

Niech się pan nie dziwi! — wyjaśniają mi kolejarze. — Ludzie nie są w stanie wyeliminować autentycznych trudności obiektywnych, które tkwią w wyeksploatowanym torze i zużytych, nadmiernie obciążonych torach. Pasażer nie ma nawet wyobrażenia o tym, w jak fatalnym stanie są nasze tory, na ilu odcinkach występują ograniczenia szybkości? Właściwie co dzień, ba, kilka razy na dzień powinno się aktualizować rozkłady jazdy. Kolej była zawsze i jest ciągle niezwykle precyzyjnym mechanizmem, którego funkcjonowanie zakładać może być zjawisko pasku. A tu z roku na rok coraz więcej garści piasku wpada w nasze tory!

Godzina 23.30. Wchodzimy do kierowniczego przedziału. Cicho, bo Mieczysław Frandzel siedzi przy oknie ze spuszczoną głową.

Cicho, niech śpi — szepta konduktor — najbliższy postój za pół godziny. — Gdzie tam, „szef” uśmiecha się, obserwując nas spod przemurzonych powiek. — Nie mogę spać w pociągu — wyjaśnia — za żadne skarby nie usnę. Ostatnio, jak jechałem na urlop, wziąłem nawet kuszetkę, figa z makiem!

A cały pociąg zaczyna przysypiać. Najbardziej tłoczno jednak wokół toalet, pod którymi w kolejkach ustawiają się wyganiane spać dzieciaki, sięgające po klasyczny chwyt: — Tylko jeszcze, proszę pani, muszę siusiu!

Godzina 0.15. W większości przedziałów wygaszone światło, cmią się tylko mocne jarzeniówki. Najwcześniej posypały się „białoborskie” maluchy, nad których snem czuwa jeszcze cała kadra. Porozkładało się bractwo na kanapach, okrywając czym popadnie.

Rozrabiają tylko na całego skierniewiczanie, zajmujący ostatnie półtora wagonu. A panie wychowawczynie? Zamiast „oskrzydlić” swoich podopiecznych, ulokowały się na samym końcu, żeby móc spokojnie spać, co robią niewzruszenie od dobrej godziny.

Godzina 1.30. W pierwszych wagonach krąży nieustannie jedna z komendantek.

Dwa wagony dalej — zamieszanie na korytarzu. Śmukła druha z arcyważną miną muszturuje swoich trzech podopiecznych, nakazując im skakanie po wagonie „zabką”. — Zmęczycie się szybciwie i pójście wreszcie spać! — perswadyje, demonstrując im zresztą na czym prawdziwa zabka polega. W końcu i ona nie wytrzyma, przylgając się do radosnego śmiechu trzech wisusów.

Jeszcze dalej — blondynka z „Czaplinek” siedzi na pustym korytarzu. — Dlaczego pani nie idzie spać? — Popijnię jeszcze trochę, niech moje dziewczuszki spokojnie pospą.

Godzina 2.15. W jednym z przedziałów pełne światło. Wewnątrz trzech bąków kłębią na podłodze i z zapalną ją pucuje kawałkami gąbki. — Zaraz idziemy spać! — melduje pucówkowi brunecik. — Tylko musimy przedział do porządku doprowadzić, bo będzie punktacja za czystość. Druha powiedziała, że przedział był taki ładny, że wstyd bałagan zostawić — dodaje jego kolega a przyszedł jeden chłopak, wszystkie paluszki nam zeżarł i naśmiecł, jak proszę. — A skąd macie gąbki? — z trudem utrzymuję powagę. — Jak to skąd? Z naszych beretów!

Kiedy wracam przez ten sam wagon, światło zapalone w innym przedziale. — A wy co robicie? — zdumiewa mnie widok czterech zuchów w pełnym rynsztunku. Pozakładali plecak, pozbierali torby i torebki, a teraz sterczą u drzwi, kłwając się ze zmeżenia. — Wysiadam! — wyjaśniają. — Druha powiedziała, że zaraz wysiadamy. — Krótkie rozmowa, przetykana ziewnięciami i westchnieniami, wyjaśnia to uroczę qu! pro quo. Pamiętamy o dziecięcej logice i dosłowności. Druha po prostu powiedziała: — Musicie się wyspać, bo zaraz wysiadamy!

Godzina 3.10. Cały pociąg usypiony. Nawet skierniewickie „Miastko” zmorzył sen. Tylko w „czaplineckich” wagonach podremuje w korytarzu na opuszczonym krzeszku rosy, krótko ostrzyżony wychowawca.

Godzina 4.41. W Szczecinku wysiada „Czaplinek”. Zaspany z początku, trochę niemrawy — budzi się zaraz na świeżym powietrzu.

Godzina 5.31. Biały Bór. Rozkład jazdy przewiduje tylko cztery minuty postoju. Najpierw „wyładunek” zuchów, a potem ich bagaż, z którymi mocują się ich — tak niewiele starsi — opiekunowie.

Godzina 5.50. W Miastku wysiadają skierniewicki harcerze.

Robimy kolejny obchód po wagonach, sprawdzając czy ktoś czegoś nie pozostawił. Jeszcze tylko wymiana dokumentów z maszynistą Jerzym Świniarskim — który powiódł nas od Bydgoszczy — a także zebranie podpisów i pieczętek od miejscowego dyżurnego ruchu.

I koniec podróży służbowej. Przed przekazaniem pociągu sprawdzamy jeszcze jego stan. Przedziały i korytarze w porządku. Bez zarzutu też są wszystkie toalety. Wszystko — jak z tego wynika — zależy przecież od tego, kto i jak dziećmi pokieruje, kto ustrzeże je od chodzenia samopas. Czy dzieci z „mojego” pociągu były wyjątkowo dobre? Czy opieka była lepsza? Może krzącaje po pociągu „widmo” wizytatora w mojej skromnej osobie przyczyniło się do podniesienia poziomu tej opieki?

Jeśli nawet tak, to podwójną mam satysfakcję. Po pierwsze — pół tysiąca dzieci lepiej dojechało na wakacyjny wypoczynek. Po drugie — mamy prosty sposób na zapewnienie naszym dzieciom spokojnego i bezpiecznego przejazdu pociągami kolonijnymi.

Niechaj każdy z nich stanie się pociągiem szczególnej troski, pociągiem pod specjalnym nadzorem. Niech każdy pociąg wiezie wizytatora, który swoją obecnością doprowadzi do wzmożenia czujności. Są wakacje — wizytatorzy na pewno mają mniej zajęć. Poszedłbym nawet dalej — zobowiązałbym komitety rodzicielskie do typowania „społecznych konwojentów”, obsługujących każdy bez wyjątku pociąg kolonijny. Gotów jestem się złożyć, że pomyślowi temu przyklasną i rodzice i wychowawcy.

Wnioski z podróży adresuję do władz oświatowych z nadzieją, że o szybkich decyzjach poinformują — za naszym również pośrednictwem — wszystkich rodziców, którzy wciąż zadają sobie pytanie: jak dojadą nasze dzieci?

JACEK INDELAŁ

POCIĄG POD SPECJALNYM NADZOREM

jąca w szczerze osłupienie. Widać nie nowiojszka to, nieraz pewnie jeździła pociągami kolonijnymi. Dobrze pamięta te klamki od drzwi, które trzeba było pętać sznurkiem, żeby nie wypaść z pociągu; że nie zamykające się okna przez które wiał i deszcz zaczynał; że twarde ławki w brudnych przedziałach; że toalety bez wody i popuszczone muszle. Nie rozpieszczala za bardzo kole naszych dzieci, ekspedując je często najbardziej wysłużonym i zaniedbanym taborem.

Godzina 19.00. Nasz pociąg jednak na wysoki zrobiono polysk. Aż błyszczy, aż pachnie, aż dziwi bierze, że wszystko na miejscu, że wszystko zdziała. Do tego przedziały pulmanowskie z miekką tapicerką.

— Można wsiadać! — dysponuje przedstawiciel kolei. Kierownictwo — tak dyrekcyjnie, jak i stacje — reprezentuje spore grono. W zasadzie są tu wszyscy odpowiedzialni za przewozy dzieci. — Wie pan — wyjaśnia Stanisław Dobosz — jak człowiek sam dopinuje, to potem może spać spokojnie! — Jest również i naczelnik Tomczak z DOKP, któremu długoletnia praca na kolei oblokła w imponującą siwizną głębię jeszcze czuprynę. W komplecie stawia się obsługa techniczna wagonów. — Pieska to służba — słyszę w tym kierowniczym gronie — ale wytrzymać można, jeśli się ją pokocha! — Otóż to!

I wszystko byłoby dobrze, gdyby coraz więcej osób nie wiedziało, że nie jestem pracownikiem kolei. Po tej stronie barykady musiałem się odkryć, inaczej bowiem biegłbym co najwyżej za pociągiem. Strona przeciwna — pracownicy oświaty, mali pasażerowie — nie ma prawa niczego się domyslać. Oby! Mam trochę wątpliwości: ja sam — na przykład — wiem już, że następnym pociągiem, do Rzeszowa, wyrusza wizytator z kuratorium. Również incognito, również w tajemnicy.

Godzina 19.20. Dzieciarnia załadowana, sprawnie i szybko. Nawet rodzice za bardzo nie przeszkadzali. A teraz sterczą u otwartych okien, udzielając ostatnich porad i przekazując ostatnie czułości.

w pociągu — dzielne. Żadne tam płacze i bładolentia: rozesmiane buzie i piskusy na myśli.

Pierwszy turnus jest teraz najtrudniejszy! — wyjaśnia mi pólnie doświadczona nauczycielka. — Nie mamy w ogóle kadry. Młodzież ze szkół średnich i wyższych ma jeszcze zajęcia lub egzaminy, poprzestawiać więc musimy na kilkunastoletkach, które at strach obarzać tak wielką odpowiedzialnością. Niepewna jest ta kadra. A wszystko przez ten pomysł odstąpienia od tradycyjnych terminów rozpoczęcia i zakończenia szkoły.

W czasie podróży załpionowały mi harcerskie nastolatki autentyczną dorosłością, sercem i zapamięta i uroczą powagą w pełnieniu opiekunich powinności. Odpowiedź na pytanie, czy można ich obarzać tak trudnymi zadaniami, znał może nie tylko w ich zachowaniu, lecz — w moim w pierwszej kolejności — w pełnym uwielbieniu i szacunku oczach ich małych podopiecznych.

Godzina 20.15. Wykonałem już kolejny obchód całego pociągu, w czasie którego zaczyna mnie komendantka 250-osobowej grupy harcerzy, jadących do Białego Bóru. — A pan, przepraszam, co tak krąży po pociągu? — Wypelniam swoje obowiązki! — Pan skąd jest? — Trwa przesłuchanie. — Z obsługi pociągów — tłumaczę się. Przechodzę szybko dalej, widząc jak moja rozmówczyni nachyla się do ucha swej koleżanki.

— Wie pan — informuje mnie w chwilę później kierownik pociągu — komendantka pytała mnie, kim pan jest! — Która? Ta sympatyczna? — Nie, ta w okularach! — I co pan powiedział? — Jak to, co? Że jest pan z naszej drużyny. — Uwierz! — Chyba, chocho!... Powiedziała, że już one oka przez całą noc nie zmrzną. — Minę muszę mieć niewyraźną, bo mnie „szef” pociesza: — Podejrzej, czy nie, co za różnica! I tak nie zapowiada się, żeby było tak, jak się zdarza w takich pociągach. Raz to nawet chcieli mnie kolonisi pobić, jak ich próbowałem uspokoić. Różne rzeczy się widziało!

Godzina 21.00. — Spokój? — pytam kolegę kon-

konywać wymiany: zdzierano rozłazące się i gnijące tworzywo i kładziono nowe. Ale nowe także gnilo. Więc bywało, że zakładano go po raz trzeci. I wszystko na nic. Wówczas sięgnięto po argument ostateczny: zaskarżono wyrób jako taki, w przekonaniu, że w czasie jego produkcji nie zostały zachowane wymagane parametry.

Produkcja lentexu zajmują się Śląskie Zakłady Przemysłu Lniarskiego „Lentex” w Lublińcu, ul. Powstańców 54. Droga, importowaną jutę, zastąpiono rodzimym lnem. Zakłady ruszyły pięć lat temu i lentex został przez Instytut Techniki Budowlanej dopuszczony do stosowania w budownictwie mieszkaniowym specjalnym świadectwem nr 219/75 z 31 maja 1975 r. To świadectwo dość rygorystycznie określa proces produkcji oraz posiada zalecenie co do wykonywania posadzek z lentexu (bardzo istotny szczegół: podłoga, na którym jest kładziony lentex nie może przekraczać 3 proc. zawilgożenia). Natomiast nic tam nie ma pa temat zabezpieczenia produktu przed korozją biologiczną. Producent z własnej inicjatywy zaczął dodawać do podkładu włókienicznego minimalne ilości importowanego 5-procentowego germandu, co miało zabezpieczyć przed wilgocią w czasie transportu. Dopiero w rok później, tenże ITB zalecił, by do klejenia wykładzin stosować mazałep II — klej utoksyczniony środkiem grzy-

bobójczym. Po kolejnym rocznym okresie ITB wydał nowe zalecenie, by do impregnacji podkładu dodawać bromocitu, także silnie działającego grzybobójczo. Niestety, próby stosowania tych grzybobójczych preparatów wypadły negatywnie i zakłady produkujące lentex odwołały się do ITB o ponowne i dogłębne opracowanie środków i metod zabezpieczających lentex przed korozją biologiczną. I na tym właściwie sprawa utknęła.

Stan na dziś przedstawia się następująco: Śląskie Zakłady Przemysłu Lniarskiego „Lentex” produkują wykładzinę nadal, kombinaty budowlane wykładają nią podłogi w mieszkaniach, lokatoryz na kilku tygodniach od chwili zasiedlenia zaczyna ją interweniować w swojej RSM, że lentex gnije, spółdzielnie mieszkaniowa zgłasza zarzuty pod adresem kombinatu budowlanego, a ten z kolei kieruje sprawę do Państwowego Arbitrażu Gospodarczego Głównej Komisji Arbitrażowej. Krąży papierki, przybywa na nich stempli urzędowych, a lentex jak gnął tak gnije.

Orzeczenie (OT-6777/78) wspomnianego wyżej arbitrażu wypadło na niekorzyść powodów. Jak bowiem udowodnić, że w chwili kładzenia lentexu wilgotność podkładu cementowego nie przekraczała 3 proc.? Ze na suchym podłożu rozprowadzono klej „Pronacryl B”, że samo podłoże zostało wykonane z trzech warstw:

miekkiej płyty pilśniowej laminowanej, papy izolacyjnej wyrównawczej z cementu „Portland 350”? Jak udowodnić, że lentex był przez kombinat budowlany przechowywany w warunkach suchych, że nie został nasączone wilgocią w magazynach? Robi się, co prawda, próbki papierem lakmusem, lecz jak przekonać członków komisji arbitrażowej, że konkretny papierek pochodzi z konkretnego mieszkania? Pytań i wątpliwości jest wiele, sprawa się gmatwa, rozciąga w czasie. A czas pracuje na korzyść producenta, który utrzymuje, że przecież w świadectwie wydanym przez Instytut Techniki Budowlanej 219/75 nie jest przewidziane impregnowanie antykorozyjne warstwy tekstylnej wykładziny, a jej walor wcale nie ulega zmianie, jeśli zostaną zachowane wymagania dotyczące podłoża, na którym zostaje położona. Powstała więc sytuacja ping-ponowa: płecka wędrówka od producenta do wykonawcy i z powrotem, a ludzie w mieszkaniach klną w żywy kamień, gdyż coraz trudniej przebywać w pomieszczeniach z rozkładającym się lentexem.

Wojewódzka Spółdzielnia Mieszkaniowa miała w końcu dość tych ciągłych narzekań i interwencji. Skoro przydzieliła człowiekowi mieszkanie, a ten własnoręcznie podpisał pokwitował jego odbiór w stanie nadającym się do użytkowania, więc niech sam się martwi jeśli mu tam

coś gnije, kapie czy odpryskuje. W okresie gwarancyjnym, trwającym 12 miesięcy spółdzielnia jest gotowa dokonać wymiany, po tym okresie umywa ręce. „Uchwała nr 81 Zarzą-

du CZSMB z 6 czerwca 1979 r. w sprawie rozliczeń finansowych spółdzielni i członków w zakresie napraw wewnątrzlokalnych oraz zasad rozliczeń spółdzielni z członkami zwalniającymi lokal” — wyraźnie precyzuje zakres odpowiedzialności

COŚ
GNIJE

ZERÓWKA

(Dalszy ciąg ze str. 1)

kie na każde z osobna. Dzieci są niebawem ruchliwe, mogą zajmować się jedną sprawą nie dłużej niż 20 minut, później tracą dla niej zainteresowanie, są już zmęczone, trzeba się z nimi pobawić, dać im trochę ruchu, aby odpoczęły. Wszystko to odbywa się w szkole, gdzie jest zupełnie inna atmosfera, gdzie jest mniej możliwości dla zabawy, więcej dla nauki.

Wielu rodziców stawia sobie jednak za punkt honoru umieścić swojego malucha w klasie zerowej, uważając, że tutaj lepiej przygotowuje się go do nauki w szkole. Wielu rodziców domaga się wręcz, aby zajęcia zaczynały się dla maluchów o godzinie 8 rano i zostawia dziecko w szkole do godziny 17. Po 5 godzinach zajęć w klasie zerowej dziecko idzie do świetlicy, gdzie najczęściej się nudzi i męczy. Ale rodzicom to jest wygodne.

O przydziale dzieci do klasy przedszkolnej w przedszkolu, do klasy zerowej w szkole czy do ogniska decyduje specjalna komisja. Zdarza się tak, że do klasy w przedszkolu trafia dziecko, które ma w domu opiekę, a dziecko, które nie ma takiej opieki trafia do klasy zerowej i nim rozpocznie już prawdziwą naukę w szkole skazane jest na przebywanie w szkolnej świetlicy niemal do jej zamknięcia. A takie dziecko powinno właśnie trafić do przedszkola, gdzie dostanie podwieczorek i będzie pod innym rodzajem opieki niż w szkole. Tylko, że przedszkole jest... odpłatne, a nauka w zerówce nie. I niektórzy rodzice wolą skazywać dziecko na świetlicę niż płacić za przedszkole.

W przedszkolu i w ognisku przygotowanie do zajęć szkolnych trwa trzy godziny, w szkole pięć godzin. Nikt mi jakoś nie umiał tego do końca wytłumaczyć, skąd się wzięła i dlaczego utrzymuje się taka różnica, skoro program i cele oraz metody są takie same. Dla dziecka jest więc korzystniej przygotowywać się do nauki w klasie przedszkolnej lub w ognisku. A rodzice biją się niemal o to, aby dziecko umieścić w klasie zerowej. Nauczyciele postulują, aby komisja, która decyduje o rozdziale dzieci, brała jednak pod uwagę również ich warunki domowe i w trosce o dobro dziecka przydzielała je tam, gdzie będzie mogło najlepiej, najmniejszym kosztem przygotować się do przyszłej nauki.

Przeciwnicy zerówki, bo i tacy są, powiadają, że jest to odebranie dziecku roku dzieciństwa, że dawniej dzieci też chodziły do szkoły i nie musiały się wcześniej specjalnie do tego przygotowywać. Zwolennicy odpowiadają, że dziś jest inna szkoła, inny program i dziecko, aby sobie mogło z tym poradzić, musi być jednak odpowiednio przygotowane. Zerówka nawet do tego nie starczy, gdyż jeszcze w pierwszej klasie trzeba robić godziny wyrównawcze i zgodnie z zaleceniami psychologa doskonalić takie czy inne umiejętności dziecka. Zdarza się jednak i tak, że rodzice nie posyłają w ogóle dziecka do zerówki, że staje ono później przed psychologiem, odpowiada na różne testy i w zależności od wyniku idzie do szkoły lub musi przejść przygotowanie w ognisku, choć przymusu nauki w zerówce nie ma.

Czy zerówka spełnia pokładane w niej nadzieje?

Zdania są podzielone. Niektórzy pedagodzy skłonni są nawet przyznać, że pobyt w zerówce pozbawia dzieci jakiejś części dzieciństwa, że zbyt wiele jest w tym nauki, a ciągle za mało zabawy, która mogłaby być jednocześnie nauką. Zwraca się na przykład uwagę, że wiele dzieci przychodząc do I klasy próbuje „drukować” litery zamiast je pisać, że ucząc się pisać robi straszne błędy, z którymi nie walczy się, którym się nie przeciwdziała. Jeśli w zerówce można, reagując w porę, wytłumaczyć dzieciom, że choć wokół nich, na ekranie telewizora, na reklamach, szyldach, napisach są tylko litery

drukowane, to istnieją również litery pisane i takimi trzeba się posługiwać przy pisaniu. I dzieci to szybko przyjmują. Gorzej jest z powstającymi w I klasie i późniejszych błędami. Utrapieniem jest też tabliczka mnożenia, jak zresztą cała matematyka. Rodzice wielokrotnie są bezradni, gdyż nie są w stanie pomóc dziecku. A nauczyciele mogą jedynie narzekać na przeładowane programy, które nie pozostawiają czasu na utrwalanie nabytej wiedzy, na różne korekty braków i błędów. Taka kolomyjka zaczyna się już w klasie pierwszej.

Jeśli zerówka — mówią nauczyciele — ma spełnić swoje cele to musi być prowadzona jednolicie i zgodnie z istniejącymi realiami. Jej założeniem jest, aby dzieci przychodzące do I klasy były możliwie jednakoowo przygotowane do nauki w szkole. W praktyce jest natomiast tak, że z analizy opinii psychologów, z podziału na trzy formy przygotowania zerowego, tworzą się grupy lepiej i gorzej przygotowane, grupy, w których trzeba w I klasie przeprowadzić korekty umiejętności. Skutki wychowawcze tego są przeciwne założeniom.

Jeśli zerówka — mówią dalej nauczyciele — ma spełniać swoje zadania, to nie może to być działalność improwizacyjna, w wyniku której już od najwcześniejszych lat uczymy dzieci być improwizatorami. Przede wszystkim nie może brakować podręczników i pomocy szkolnych. Podręczników brakuje przez cały niemal czas nauki w szkole. To samo jest z pomocami. W propagandzie mówi się wiele o nowoczesności naszego społeczeństwa i naszej szkoły, o jej ciągłym reformowaniu, a dzieci w praktyce tej szkoły stykają się niemal stale z różnymi brakami, które przeczą teoretycznym założeniom tejże nowoczesności.

Wielu klasom zerowym brakuje pomocy szkolnych. Inne ich mają. CEZAS zna potrzeby zerówki, ale nie ma możliwości im sprostać. Mogłoby to zrobić rzemieślnicy, ale szkoła musi mieć rachunek na kupione pomoce, a nie wszyscy rzemieślnicy mogą takie rachunki wystawić i nie zawsze władze oświatowe chcą je honorować. Często radzi się nauczycielom, aby przygotowywali takie pomoce własnym sumptem. Ale nauczyciele oprócz pracy w szkole też mają inne obowiązki: w domu, w rodzinie i nie mają czasu na wyręczanie rzemieślni i przemysłu.

I wreszcie sprawa kadry. Wbrew temu, co się na ogół sądzi o nauczaniu początkowym, jest to proces bardzo trudny, wymaga zamiłowania, predyspozycji i wysokich kwalifikacji. Wielu doświadczonych nauczycieli dokształca się nadal właśnie w zakresie nauczania początkowego. Ale w klasach pierwszych, drugich i trzecich program przewiduje na przykład wychowanie muzyczne, które od nauczyciela wymaga wysokich kwalifikacji. Nie każdy nauczyciel może więc podjąć się nauczania tego przedmiotu. Powinno to robić fachowiec z wyższym wykształceniem. A tych jest niewiele.

Utrapieniem szkół są zastępstwa. Na ogół specjalistę powinien zastępować specjalista. Tragedią szkoły jest, kiedy zachoruje nauczycielka, która uczy zerówkę. Kto ją ma zastąpić? Ona przecież zna swoje dzieci, wie, co, z którym i jak przerabiać, a zastępca tego wszystkiego nie wie i tylko ogranicza się właściwie do pilnowania dzieci. Podobnie zresztą zastępstwa wyglądają w starszych klasach.

Reformowaliśmy tę naszą szkołę tyle już razy, reformujemy ją zresztą nadal, że nie mam już sumienia postulować korekt w programach zerówki czy też w klasach młodszych. Ale być może warto byłoby nad tymi programami w świetle praktyki i realnych możliwości zastanowić się. W każdym razie, wychodząc z założenia, że zerówka w systemie dziesięciolatki jest nie do uniknięcia, trzeba by wszec sił dążyć do tego, aby oparta była na realnych i jednakowych podstawach, aby przygotowanie dzieci było jednolite, w jednolite wyposażonych i funkcjonujących klasach zerowych, w których opiekowałiby się dziećmi dobrze przygotowani pedagodzy. W wychowaniu i nauczaniu nie możemy sobie bowiem pozwalać na nieustanną improwizację i fuzerkę. Za kilkanaście lat skutki tego mogą być opłakane. I już praktycznie nie do naprawienia.

BOGDA MADEJ

obu stron. Punkt 7 stanowi:

„Naprawy wewnętrzne lokali nie zaliczone w regulaminie do obowiązków spółdzielni obciążają członków zajmujących te lokale. Jako szczególne obowiązek członka zajmującego lokal w budynku spółdzielni ustala się: 3) naprawy i wymiany podłóg (o ile nie są włączone do zakresu obowiązków spółdzielni).”

Tak więc sprawa jakby wyjaśniła się, przestała być sprawą RSM. W starszy odpowiednio przesądzenie i problem nie istnieje.

W zaistniałej karuzeli wzajemnych skarg, pomówień, pretensji, zasłaniania się prawem, najbardziej cierpią lokatorzy, których mieszkania upodabniają się do wielkiej hodowli grzybów gnilych pożerających podłogową wykładzinę. Po ustawowym okresie gwarancyjnym (jeden rok), kiedy wygaśnie odpowiedzialność spółdzielni i ciężar kosztów spada na lokatora, ma on do wyboru następujące warianty poprawienia komfortu własnego mieszkania: jeśli położy klepkę dębową a 320 zł za 1 m kw. to ma spokój na lat 50; jeśli parkiet mozaikowy a 260 zł za 1 m kw. — śpi spokojnie przez 25 lat; płytki PCW po 170 zł za 1 m kw. — trwałość podłogi wyniesie 18 lat, a lentex, którego 1 m kw. kosztuje 320 zł, według przewidywań zginie mu po 10 latach (co jest bzdurą, bo gnieje już po kilku tygodniach od chwili jego położenia).

Rodzi się więc pytanie: dlaczego

kombinaty budowlane nie studiują powyższego zestawienia i zamiast taniego parkietu mozaikowego kładą nadal drogi lentex? Odpowiedź znajdujemy w wypowiedzi dr Ryszarda Jajszczyka:

„Istniejąca realizacja cen powoduje, iż w interesie przedsiębiorstwa budowlanego leży preferowanie materiałów typu lentex czy swelit. W przeliczeniu na 1 m kw. powierzchni użytkowej materiały te zapewniają przerób taki sam, a nawet wyższy niż materiały pochodzenia drewnianego. Równocześnie lentex i swelit są znacznie mniej pracochłonne w układaniu niż parkiet, klepka czy płytki PCW.”

I dalej dr R. Jajszczyk pisze: „Dla klepki dębowej niezbędna akumulacja wynosi 0,50—0,70 zł/m kw. miesięcznie, dla parkietu mozaikowego 0,90—1,00 zł/m kw., dla płytek PCW 0,80—0,90 zł/m kw., lentexu — 2,60—3,30 zł/m kw., a dla swelitu — 4 zł/m kw. miesięcznie.

W warunkach spółdzielni mieszkaniowej, gdzie całość kosztów utrzymania i napraw w mieszkaniu obciąża członków, oznacza to, że członek zajmujący mieszkanie o powierzchni 50 m kw., a posiadający podłogę z klepki dębowej musi akumulować 2 zł miesięcznie tej podłogi 25—35 zł miesięcznie (300—420 zł rocznie). Natomiast członek posiadający takie samo mieszkanie z podłogą z swelitu musi akumulować 200 zł miesięcznie (2.400 zł rocznie).”

EUGENIUSZ IWANICKI

NASZE SPRAWY

Chwalić się i chwalić innych to my lubimy ponad wszystko. Każdy na ogół kładzie jakieś zasługi w rozwoju tego czy innego. Różna jest skala tych zasług i różne jest uznanie. Można na przykład ponieść zasługi dla rozwoju gminy, branży, przedsiębiorstwa, województwa, przemysłu, kultury i kraju wreszcie. I można w uznaniu tych zasług otrzymać odpowiednie odznaczenie, dyplom, nagrodę. Proces dewaluacji różnych odznak, nagród i wyróżnień postępuje nieustannie i można już nawet powiedzieć, że coraz szybciej. Tym bardziej, że w różnych krytycznych momentach wszelkie te zasługi, dowody uznania, dyplomy i tak dalej okazują się zupełnie nieprzydatne. Doświadczyl na sobie tego inż. Tadeusz S., kiedy okazało się, że po latach wychwalania i nagradzania nadszedł okres krytyki i niezadowolenia z jego pracy.

Całe dzieje ludzkiej działalności dowodzą, że nie popełnia błędów tylko ten, kto nic nie robi. Każda działalność, każda praca związana jest z ryzykiem. I to ryzyko jest tym większe im większa jest odpowiedzialność człowieka, im większa ma możliwość decydowania. I każdy z nas, podejmując się swojej pracy, ryzyko to bierze pod uwagę. Wziął je również inż. Tadeusz S., kiedy podejmował się organizacji służby wzornictwa w Centralnym Laboratorium Przemysłu Wełnianego — Północ w Łodzi. Chwalono go wtedy za to i nagradzano. I było za co.

LUCJAN BOGUSZ

NAGRODY I OSKARŻENIA

Jest inż. Tadeusz S. autorem lub współautorem kilku prac naukowo-badawczych, wraz z zespołem, który opracował technologię wytwarzania tkanin z udziałem włókien lnianych „Millen” nazwisko jego zostało wpisane do Księgi Nauki Polskiej. Otrzymał też podziękowanie za swoje prace z Instytutu Krajowych Włókien Naturalnych w Poznaniu, podziękowania za udział we wprowadzeniu do produkcji elany i anilany. Wiele jeszcze można innych zasług wymienić, jak choćby pomoc włókiennikom w Bułgarii we wprowadzaniu nowych technologii tkackich i nowego wzornictwa, jak też wyróżnienie za organizację wystaw wyrobów przemysłu wełnianego. Ale nie o to chodzi, aby zasługi te wylizywać, gdy nie one stały się przedmiotem mego zainteresowania i utrapienia inż. Tadeusza S. On może się nimi już tylko cieszyć w ciszy swego domu, kiedy rozpamiętuje przeszłość i zastanawia się, co się stało, że nagle z człowieka chwalonego, nagradzanego, wyróżnianego, stał się... przestępcą.

Inż. Tadeusz S. został zastępcą dyrektora do spraw wzornictwa i produkcji doświadczalnej Centralnego Ośrodka Badawczo-Rozwojowego Przemysłu Wełnianego — Północ w Łodzi. Podlegała mu cała służba wzornictwa oraz wystawiennictwa. I za kierowanie tymi służbami otrzymywał również pochwały i wyróżnienia, jak choćby za wkład w organizację wystawy: „Postęp techniczny w produkcji antyimportowej przemysłu lekkiego”. Inż. Tadeusz S. w swojej pracy związanej z organizacją wystaw wierny był zasadzie, że po to kształci się fachowców różnych specjalności, aby oni najlepiej robili te rzeczy, na których się zna i do robienia których zostali przygotowani. I dlatego urządzanie wystaw zlecał Zakładowi Artystycznym Związku Polskich Artystów Plastyków lub Pracowni Sztuk Plastycznych.

Dla inż. Tadeusza S. wynikało stąd — delikatnie mówiąc — nieporozumienia stanowią osobistą i przykrą sprawę. Dla mnie są ilustracją pewnych ogólniejszych tendencji. Biorą się one między innymi stąd, że ciągle szukamy doradczych korzyści, zupełnie nie interesując się, jakie to będzie miało szersze konsekwencje. W Centralnym Ośrodku Badawczo-Rozwojowym Przemysłu Wełnianego — Północ w Łodzi pracowali plastycy. Ktoś doszedł do wniosku, że skoro są plastycy w danej instytucji, to po co szukać innych. Niech oni robią wystawy. A skoro inż. Tadeusz S. postępowal inaczej, to widać... miał w tym osobiste korzyści. I tak narodziła się sprawa inż. Tadeusza S. Odwołano go ze stanowiska — to też neologizm naszych czasów, u nas się nie zwalnia, u nas się odwołuje, niekiedy nawet na własną prośbę, a często ze względu na zły stan zdrowia — a następnie sprawę skierowano do prokuratury rejonowej dla Śródmieścia w Łodzi.

Prokurator też się zastanawiał nad tym, czy plastycy zatrudnieni w Centralnym Ośrodku Badawczo-Rozwojowym Przemysłu Wełnianego — Północ w Łodzi nie mogliby zajmować się urządzeniem wystaw i doszedł do wniosku, że nie.

„Należy w tym miejscu podnieść — napisał w „Postanowieniu” — iż istotnie — artycy plastycy zatrudnieni w COBR — byli absolwentami Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Łodzi — Wydziału Tkanin.”

A więc nie posiadali ani umiejętności, ani uprawnień do urządzania wystaw. Czyli, że inż. Tadeusz S. nie naruszył swych kompetencji zlecając specjalistom urządzenie wystaw wyrobów Przemysłu Wełnianego — Północ, działając w trosce o wysoki poziom tych wystaw.

U nas się na ogół ma nonszalantki stosunek do fachowości, wychodząc z założenia, że jak ktoś jest od kierowania, to obojętne jest w zasadzie, czym będzie kierował, byle kierował dobrze, a jak ktoś jest od plastyki, to w zasadzie obojętne jest czy jest malarzem, grafikiem, rzeźbiarzem, gruntem, że jest artystą. Ze szczegółami sobie jakoś tam zawsze poradzi. Ale niestety, jest to przekonanie ze wszech miar błędne. Życie staje się coraz bardziej skomplikowane i coraz bardziej wymagające specjalistycznych umiejętności. Już choćby nawet takich, aby wiedzieć, że wśród plastyków obowiązują ścisły podział uwarunkowany techniką i umiejętnościami. Ale na przykład kontrolerzy, którzy są od wszystkiego, nie muszą o tym wiedzieć.

Jest to osobny temat. Tu mogę tylko powiedzieć, że na ogół kontrolerzy znajdują to, czego szukają, albo to, czego szukać mają. Gdyby bowiem przy tak ogromnej ilości różnych kontroli sprawowały one należyte swoje role, to nie trzeba byłoby instytucji kontrolnych mnożyć w nieskończoność. W każdym razie w przypadku inż. Tadeusza S. znaleziono 629 tysięcy złotych, które zakwestionowano oraz jeszcze zarzut, że inż. Tadeusz S. zlecił Henrykowi K. — kierownikowi pracowni wzornictwa tkanin czesankowych w Centralnym Ośrodku Badawczo-Rozwojowym PW — Północ w Łodzi, członkowi Związku Polskich Artystów Plastyków, wykonanie stelaży dla wystaw, co było naruszeniem jego kompetencji i z czego obaj ciągnęli materialne korzyści dzieląc się nimi.

Niestety dla kontrolerów prokurator nie znalazł żadnych podstaw, aby zarzuty te podtrzymać i w oparciu o nie sformułować akt oskarżenia. W związku z tym prokuratura rejonowa 30 listopada 1979 roku podjęła „Postanowienie o umorzeniu dochodzenia” przeciwko inż. Tadeuszowi S. i Henrykowi K. Koniec. Kropka.

Oczywiście można byłoby całą sprawę na tym zakończyć. Sprawiedliwości stało się zadość. Przestępstwa nie było. Obaj „byli oskarżeni” mają postanowienie prokuratury, mogą je pokazywać komu zechcą, dołączyć do prywatnych zbiorów różnych odznak, dyplomów, nagród i wyróżnień. Ale nie. Sprawa istnieje nadal.

Jesteśmy bowiem szczerzy w rozdawaniu pochwał w myśl zasady: „Chwała nas, kto? wy mnie, a ja was”. Chwalimy się nawzajem, gratulujemy sobie, nagradzamy się, odznaczamy, widać jest to nam potrzebne dla utrzymania dobrego samopoczucia. I bardzo dobrze. Ale komu zdarza się niestety, że zostaje posądzony o popełnienie takich czy innych błędów, o popełnienie różnych wykroczeń przeciw gospodarstwu, o naruszenie i przekroczenie obowiązków. To też się może zdarzyć, zważywszy, że na ogół nie współpracujemy z samymi aniołami, że bardzo często pod pokrywką „miej atmosferę” kryje się zawiść, zazdrość, antagonizmy wynikające z niezaspokojonych ambicji, często zbyt wybujałych. Jeśli się jednak zdarzy, że specjalnie do tego powołane czynniki oddalają zarzuty, wtedy... Właśnie, co wtedy? Wtedy na ogół zapada krepujące milczenie.

A chodzi o drobniaki. Chodzi o drobne cywilne odwagi, aby po publicznych oskarżeniach, również publicznie powiedzieć: „Przepraszamy, myliłimy się, nasze posadzenia były niesprawiedliwe i nieprawdziwe”. Tylko tyle.

Inż. Tadeusz S. „swoją sprawę” przepłacił utratą zdrowia. Prawdopodobnie nie wróci już do pracy zawodowej. Jego stan zdrowia jest poważny. Ktoś ponosi za to winę. Ktoś powinien poczuć się winnym. Uważam, że inż. Tadeuszowi S. należy się owo: przeproszam. Na nie więcej już nie czeka.

Aleksander Kraśniański jest autorem tomiku „Wiolonczelę i księżyc” wydanego pośmiertnie w roku 1938. Tomik poprzedził wstępem Mieczysław Braun, bliski przyjaciel poety:

„Gdy dzisiaj piszę słowa wspomnienia o przedwcześnie zmarłym poecie Aleksandrze Kraśniańskim, już tylko nieliczni spośród łodzian pamiętają jego nazwisko. Szybki bieg historii i brak w społeczeństwie powojennym pietyzmu dla twórczości poetyckiej, raczej dla tego rodzaju sztuki skłonność do pogardy, sprawiły, że pomimo talentu i zasług śmierć z zapomnieniem zawariły przemyśle nad postacią zmarłego poety.

Kim był Kraśniański? Czym wyróżnił się w plejadzie młodzińców piszących? Daleki od snobizmu modnisiów literackich, pniących się na parnas kawiarniany w bengalskich ogniach auto-reklam, nie dbał o rozgłos, ledwie kilku zaufanym zwierzał się z trosk autorskich i czytał niewyschłe jeszcze rękopisy. Perswazyjnie przyjaźnił, by posyłał wiersze do redakcji dzienników, rzadko skłaniał go do drukowania. Mus wewnętrzny wystarczał, aby pisać — a czegoś więcej wymaga się od liryka?”

We wczesnym dzieciństwie osierocony przez ojca, Aleksander Kraśniański росł w ciężkich warunkach życiowych pod opieką matki i siostry — nauczycielki. Lata chłopięce jego pokolenia przypadły na czas pierwszej wojny światowej, gdy Łódź na długo stała się obozem wojennym. Pułki rosyjskie, armaty i tabory ciągnęły po dniach i nocach przez wyludnione ulice. Fabryki zamaryły, szkoły zamienione na szpitale. Wczesny okres życia poety wypełniły komunikaty sztabu, odgłosy bitwy, panika, epidemia, głód. Bombardowanie Łodzi przez Niemców zastaje Kraśniańskiego, czwartoklasistę z „handlówki”, w gorączce tyfusowej w szpitalu, gdzie walcząc ze śmiercią słyszy jęki rannych i huk pękających nad miastem granatów.

Po długiej chorobie Kraśniański wraca do szkoły. Zaczynają się ciężkie lata okupacji niemieckiej. Poeta udziela korepetycji młodszym uczniom i tak walczy z niedostatkiem. Już wówczas zabłysnął wśród kolegów i nauczycieli talentem poetyckim, któremu wrócono świetny rozwój. W tym otoczeniu przeżył Kraśniański najpiękniejszy okres swego życia. Była to wiosna pierwszej miłości i pierwszych natchnień, gdy „muza poezji szła pod księżycem fabrycznego miasta”.

Przyszła wreszcie matura i koniec wojny. Życie powojenne potoczyło się po wyboistej drodze pełnej kontrastów i zawiedzionych nadziei. Szerokie wpływy uzyskał wzbogaceni na wojnie parweniuzi, a jednocześnie wzrosła nędza mas. Wśród dotkniętych biedą znalazł się i młody poeta. Z tego cichego okresu życia pochodzi jego wiersz „Samotność”:

Na miasta gdzie mieszkam krańcu
Jak nędzarz jaki czy zbój.
Wiele jeśli trafić chcesz do mnie,
To buty porządne wzuź.

Małenka jest moja izdebka!
Ot, trumny spróchniałe cięś,
Pajaki rajują w kątach,
Na ścianach wilgoć i pleśń.

Nikt nie przychodzi do mnie
Po całych bożych dniach,
Bo ktoś by chciał się gramolić
Gdzieś, panie, aż pod sam dach.

Mógłbym się nawet powiesić,
Trzy dni bym wisiał tak,
Półki by wraz z mą osobą
Rdzawy nie urwał się hak.

Łatwo sobie wyobrazić, jak wyglądały w tych warunkach studia uniwersyteckie Kraśniańskiego. Podobnie jak Braun, Kraśniański był studentem prawa w Warszawie. Równocześnie pracował w stołecznej PKO, a mieszkał w Milanówku. Pisze wtedy wiersze prześlągnięte „smutkiem prowincji”, w których często dochodzi do głosu gorzkie „dnia dzisiejszego”. Takie są niewątpliwie źródła wiersza „Jedenasta kategoria”, którego fragment przytaczamy:

Jesteś sławny i zamożny
I po świecie chodzisz w gorli,
A ja jestem urzędnikiem
Jedenastej kategorii.

Do urzędu państwowego
Chodzę co dzień wczesnym rankiem
W swym paletku wyszeleciatym,
W meloniku, ze śniadankiem.

W biurze siedzę w pałak zgłębi
I prowadzę duże księgi,
Piszę czysto i uważnie
Dziele gorzkiej swej mitręgi.

Ach, bo każda z tych literek,
Arcydzieło kaligrafii,
Dużo, dużo o mej mecie
Opowiedzieć ci potrafi.

Po roku pobytu w Warszawie, Kraśniański wraca do Łodzi. Pracuje w kilku redakcjach, pisze felietony i ulotne wierszki. Jednocześnie uczy się i składa szereg egzaminów na uniwersytecie. Nie znajduje szczęścia w krótkotrwałym małżeństwie. Rozgorączony stroni od ludzi, nie bierze udziału w ruchliwym wte-

dy życiu literackim. Choroba płuc czyni postępy, nadchodzi prze-cucie rychłego odejścia.

Aleksander Kraśniański zmarł w Zakopanem, mając lat 29. Był to niewątpliwie szczery, choć niezbyt głęboki talent poetycki. Trudno mówić o osiągnięciach Kraśniańskiego, warunki, w jakich żył, pozwoliły mu jedynie zapowiedzieć się, a nie dały już szansy na realizację. Dlatego szczególnej wymowy nabiera strofka jednego z jego wierszy, którą przyjąć można za epitafium:

Jest ze mną bór i błękit nieba
I pszenicznego łanu szmat,
Wiele czegoś więcej mi potrzeba,
Gdy już zapomni o mnie świat?

Kazimierz Sowiński urodził się w Łodzi na Starym Mieście. Debiutował w „Głosie Porannym”. Następnie drukował swoje wiersze w miesięczniku poetyckim „Meteor”, nazwanym tak od

TADEUSZ GIGIER

OD GLISZYŃSKIEGO DO WANDURSKIEGO

Imienia wspomnianej już grupy poetyckiej. Od roku 1936 redagował czasopismo literacko-artystyczne „Budowa”. Wydał tomik wierszy „Gwiazdy na strychu”, który otwiera następująca inwokacja:

Potem jest, by twój każdy ból nazwał,
zanim krzyk twój uciszy spokojna ręka śmierci,
by na słowa przerabiać twoich uczuć miazgę,
człowieku, który cierpisz.
Stań przy mnie czarny, choć nieznany — bliski
i opowiedz swoją mową prostą
o każdej twej radości, o każdym bólu — o wszystkim,
potem dłoń podaj mi szorstką.

Łodzianinem jest także Tadeusz Sarnecki. Na tytułowej stronie jego tomiku „Poszukiwanie siebie”, wydanego w roku 1935, widnieje dedykacja: „Łodzi, memu rodzinnemu miastu, poświęcam w dowód pamięci i miłości do środowiska pracy”. Poeta napisał „w dowód pamięci”, bowiem w tym czasie przebywał w Zamościu, gdzie nauczał języka polskiego w miejscowej szkole.

W Łodzi Sarnecki redagował przez pewien okres czasopismo „Osnowa” i brał wtedy czynny udział w życiu literackim miasta. Napisał tu wiele wierszy, między innymi „Pieśń patetyczną o Łodzi”:

Odarte cię z uroku, ziemio ma rodzinna,
co drzemałaś w wilgoci lasów i mokradel,
lecz i tak hymn ci wnoszę podnośnie jak Pindar
o, ziemio obiecana, nowa wieżo Babel...

Zioniesz w niebo bez granic gardłami kominów
i wypalasz w kotłowniach życie i ziemiosła
i skowyczasz zza płótna rozwieranych dymów
stałowymi widłami o ruchome krosna.

Obraśtały cię kiedyś drzewami i krzewem
torfowiska i puszcze, miaki i moczary,
ileż wtedy uroku musiałaś mieć — nie wlem,
nim cię w beton zakuty ręce i dźwigary.

Wicher zawił przez puszcze od rzek i Wolborza,
ziemia ciężko jęknęła od mocarnych kroków
i zniszczyła twój urok skutecznie niż pożar
Zduńska Wola, ogromna Łódź, Zgierz i Ozorków.

O, jałowe piaszczyska i gleby gliniaste,
graby, dęby i sosny, klony i modrzewie!...
Dziś gnijecie na węgiel pod ogromnym miastem
dumnie kiedyś szumiące w porwistym wiewle.

Konstanty Dobrzyński urodził się w roku 1908 na Chojnach jako syn robotnika fabrycznego. Ojciec jego zginął w czasie pierwszej wojny światowej. Matka znalazła się w nędzy. Ratując się przed nią, wyjechała wraz z synem do rodziny na Kujawy. Mały Konstanty zarabiał na życie pasaniem bydła u okolicznych chłopów.

Po kilku latach wrócił do Łodzi, gdzie ukończył szkołę powszechną i uczęszczał przez rok do państwowej szkoły włókienniczej, którą musiał opuścić z powodu choroby matki, żywicielki rodziny. Pracował przez dwa lata jako robotnik budowlany, potem otrzymał pracę w fabryce Scheiblera i w tym czasie kształcił się w gimnazjum wieczorowym.

Po odbyciu służby wojskowej, pozostawał przez trzy lata bez pracy. Uczył się jednak bez przerwy przy pomocy przyjaciół maturzystów i akademików. W tym to właśnie trudnym okresie zabrał się do twórczości literackiej. Zbiór wierszy Konstantego Dobrzyńskiego „Czarna poezja” został wydany w roku 1936 w Poznaniu. Znalazł się tam m.in. wiersz zatytułowany „W fabrycznej hali”:

W fabrycznej hali, w chaosie huku,
w członkach szybkich rytmicznym stuku,
co chcą rozsadzić brzozy swych ram
i mkną jak strzala puszczona z łuku:
raz tu — raz tam, raz tu — raz tam,
śnią mi się lasy, pachnące lasy
i precudowna soczystość łąk
i dawne, cudne dzieciństwa czasy
i kwiaty barwne prześlicznie krasy —
w fabrycznej hali pachną mi wrząg.

W fabrycznej hali śni mi się słońce,
śni mi się niwy rozległych pól,
gdzie chóry wiodą świeższe grające,
gdzie piosnki swoje słońcem tętniące
siejse skowronek — niw kwietnych król.

W fabrycznej hali słońce nie gości
i nie tka cudnych, złocistych lam,
tylko członka w mrokach ciemności
suną jak gady pełne wściekłości:
raz tu — raz tam, raz tu — raz tam.

Witold Wandurski urodził się w roku 1891 w Częstochowie, jednakże okres dzieciństwa i młodości spędził w Łodzi. Już na ławie szkolnej, w gimnazjum przy ulicy Sienkiewicza, występuje przeciw bezwzględnej rusyfikacji szkoły polskiej. Usunięty z gimnazjum, przenosi się dla ukończenia nauki do Piotrkowa. Wcielony następnie do armii carskiej, przebywa po Rewolucji Październikowej na terenie Związku Radzieckiego. Pracuje w Ludowym Komisariacie Oświaty, wiąże się z teatrem.

Po powrocie w roku 1921 do Łodzi, zakłada jedyny w swoim rodzaju teatr pod nazwą „Scena robotnicza”, w którym później wspomina:

„Pracowałem tam z satysfakcją jako cieśla, tapicer, malarz, dekorator, a nawet elektrotechnik. Robocizna kosztowała nas tylko kilkanaście nieprzespanych nocy. Słowem, natężeniem energii i zapalem młodych udało nam się z brudnej budy stworzyć teatr nowoczesny”.

W roku 1925 Wandurski wydaje wraz z Władysławem Broniewskim i Stanisławem Stądem biuletyn poetycki „Trzy salwy”. Wstęp do tego biuletynu przynosi zamyślenie credo trzech poetów: „Nie o sobie nie piszemy. Jesteśmy robotnikami słowa. Musimy wypowiedzieć to, czego inni ludzie warsztatu wypowiedzieć nie mogą. Gniew, wiara, w zwycięstwo i radość walki — każą nam pisać. Niech słowa nasze padną jak salwy w ulice śródmieścia, niech odegrzmia echem w dzielnicach fabrycznych. Walczymy o nowy ład społeczny. Walka ta jest najwyższą treścią naszej twórczości”.

Niektóre wiersze, zamieszczone w „Trzech salwach”, zostały później powtórzone w jednym własnym zbiorze poezji Wandurskiego „Sadze i złoto”, wydanym w roku 1926. Należy do nich utwór „Precz z kanarkami”:

Każdy artysta nosi marynarkę,
Pod nią ukrywa żeber klatkę,
W klatce ma wiatkę
Serce niedokrwiłe,
W sercu — starego kanarka.

Pt — czek to czuły: je konopie ziarnka
Tylko z kramiku poezji.
Życie? Otreby!
To by go otrulo,
Chleba czarnego — nie zje.

Poeta w bramie liczy ostre kości

I do piekarni zerka,
A kanarek figlarnie o miłości ludzkości
Do młodości
Rymami ewierka.
Dość tego! Stop! Serce w garść, sankuloc!
Czyżby już tylko, czyż
Wrzucić nas mogły cysterny wilgoci,
Miał May?
I Liliana Gish?
Cmy kinowe? Pokora? — Nie! Raczej cor bovi.
Głodnyś — to rozbij sklep!
Serce — do tłoczni: nabierze wigoru.
A kanarkowi —
Ukręć łeb.

Wandurskiemu nie wystarczało pisanie wierszy. Wspierał je czynem, agitacją. Brał udział w zebraniach robotniczych, przemawiał, przekonywał. Jego wiersz „Agitator” ma zapewne wiele z autobiografii poety. Areszty, prześladowania, wzięcie — to prosta konsekwencja twórczości i działalności Wandurskiego. Trudno powiedzieć, co skłoniło poetę, że po pewnym czasie wyjechał znów do Związku Radzieckiego. Może chciał się uwolnić od nagonki i szczucia? Stało się jednak inaczej. Pobyt Wandurskiego w Charkowie jest ostatnim etapem jego biografii, o którym nam wiadomo.

żliwości łódzkiego zespołu baletowego i jego ambicje artystyczne. Jakże one są?

— Sądzę, że dobry, profesjonalny choreograf jest w stanie zrealizować z naszym zespołem każdą pozycję. Nie twierdzę, że nasz zespół jest idealny, ale jest w stanie zmobilizować się i wykonać swoją pracę dobrze. Myślę, że łódzki zespół nie zadowala się byle jaką premierą baletową, potrafi ocenić pozycję, która jest realizowana i zaspokaja ich ambicje, bo jest dobra i wartościowa artystycznie.

— Przed nową łódzką premierą baletową — tańczył pan gościnnie w Operze Bydgoskiej?

— W ubiegłym sezonie otrzymałem zaproszenie od kierownika baletu Opery Bydgoskiej Krystyny Gruszkówny do zatańczenia partii Wronskiego w baletie R. Szczerbina „Anna Karenina”. Rola ta wydawała mi się bardzo interesująca. Balet ten był polską prapremierą. Okazał się dużym sukcesem bydgoskiego baletu. Repertuar w teatrze jest jednakowy, a przedstawienia różnią się głównie ilością w danym miesiącu, z przyjemnością więc przyjąłem nową propozycję, która poszerzyła mój repertuar i szczególnie przystawała do mojego emplotu artystycznego.

— I potem odbył pan dwie dalekie podróże artystyczne: do Peru i Francji?

— Wielkim zaskoczeniem dla mnie i Ewy Wycichowskiej było zaprosze-

nie na występy gościnne w Peru. Czuliśmy się szczególnie wyróżnieni, bo propozycja przyszła z Ministerstwa Kultury i Sztuki. W Peru byliśmy gośćmi II Festiwalu Nacional Balet w Trujillo i Limie. W pierwszej części tego festiwalu wystąpiliśmy jako juryści konkursu tańca i choreografii dla tancerzy peruwiańskich. Następnie braliśmy udział w koncertach galowych jako wykonawcy obok laureatów konkursu. Trzecia część pobytu to już samodzielne koncerty polskiej pary baletowej. Spotkaliśmy się z niezwykle gorącym przyjęciem peruwiańskiej publiczności i prasy. Przy okazji zapoznaliśmy się ze znakomitymi tancerzami z Huston Ballet, tancerzami węgierskimi i pierwszymi solistami baletu kubańskiego Pablo More i Mirtha Pla, z tą ostatnią tańczyłem duet z „Giselle”. Pobyt na drugiej półkuli wspominałem jako wspaniałą wycieczkę turystyczną (zwiedzanie zabytków miasta Inków, Gór Andów i poznanie szalonego kontrastu w poziomie bytowym Peru-wiańczyków). Wyjątkową opieką otoczyła nas ambasada w Limie, organizując i urozmaicając nasz pobyt. Do Francji wyjechaliśmy na Konkurs Choreograficzny w Bagnolet (pod Paryżem), byliśmy gośćmi — obserwatorami na zaproszenie organizatorów tego konkursu. Oprócz tego daliśmy koncert, na który składali się fragmenty z „Gajane”, „Sylfidów”, „Orfeusza”, „Ognistego ptaka”. Koncert został bardzo serdecznie przyjęty.



Kazimierz Wrzosek

POZOSTAJĘ OPTYMISTĄ...

Kazimierz Wrzosek — Pierwszego Tancerza Baletu Teatru Wielkiego w Łodzi nie trzeba przedstawiać. Przypomnę tylko, że na łódzkiej scenie debiutował rolą Księcia w „Królewnie Śnieżce”. W ciągu 18 lat pracy z tańcem w roli głównej stworzył 20 kreacji baletowych (tytułowej „Orfeusza”, Giko w „Gajane”, Zygryd w „Jeziorze tabedzim”, Śmierć w „Zielonym stole”, Dafnis w „Dafnis i Chloe”, Iwan w „Ognistym ptaku”, Albert w „Giselle”, czy Książę w nowej premierze baletowej „Dziadek do orzechów”) — zyskując uznanie krytyki i publiczności w kraju i za granicą. W TV oglądaliśmy artystę w specjalnym programie „Szkic do portretu — Kazimierz Wrzosek” w realizacji Henryki Rumowskiej. Niedawno był gościem telewizyjnego „Studia-2” (program Stefana Wenty „Człowiek jako instrument ruchu”). Z dużym powodzeniem wystąpił w Peru i Francji. W 1970 r. rozpoczął pracę pedagogiczną w łódzkiej PWSFTiit. Zadebiutował też jako publicysta na łamach tygodnika „Kultura”. W Akademii Muzycznej im.

F. Chopina w Warszawie kończy studia pedagogiczne (nauczyciel tańca). — Tańczy pan wszystkie główne partie męskie w łódzkich baletach. Czy to panu wystarcza?

— Ilościowo może tak, natomiast jest to tylko parę tytułów, czyli w zasadzie tańczę to samo. Chciałbym, aby mój repertuar był zwiększony i bardziej różnorodny. I jeżeli w miesiącu tańczę 5 razy, to każdy występ chciałbym mieć w innym baletcie.

— Do repertuaru dołączyła nowa partia. Książę w baletcie P. Czajkowskiego „Dziadek do orzechów”. To balet klasyczny dla najmłodszej widowni. Czy są różnice w jego tańczeniu z porównaniem do baletów dla widzów dorosłych?

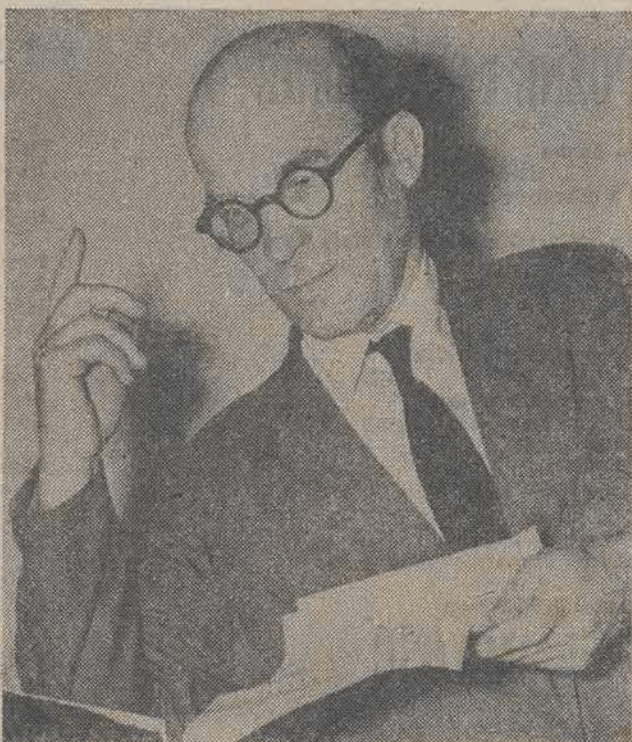
— Od strony warsztatu tańczy się jednakowo: dla dorosłych i dla dzieci. Dla widzów dziecięcych wnioskuję poprawkę, że należy ją traktować szczególnie poważnie, bo to przyszły odbiorca sztuki baletowej. Ponadto dzieci nie można oszukać, bo one natychmiast to wyczuwają. Przekonałem się, że to bardzo wrażliwy odbiorca. — Zna pan szczególnie dobrze mo-

FIJAS

Kapelusz ma z chmur
Filcowy szarak —
Zygmunt od ziół
Kumpel mrukiwego
Jak syjamski kot Jana
Tego poety od ziemniaczanych kwiatuśzków
i cebuli

Fijas
Homer podwórzowej pompy —
Tu go rzuciła Poezja
Małych Próz
O Szkodliwości Łódzkich Kominów

A jak Piotrkowską idzie
Kraków ma w oczach i Mariacki Hejnał
I podwinęty storczyk kołnierzyka
I sobie gwizdże na dziobiące się ptactwo literatów
By mu sfruwało z jego własnej biblijnej drogi
MIECZYSLAW M. SZARGAN

CZTERY WIOSENNE NOTATKI
PROZĄ ZYGMUNTA FIJASA

PTASI KONCERT

ptni zwalanych z wołaniem drwali:
A hoo, a hoo.

WIOSENNE GODY

Dni gnają ku Wielkanocy białymi,
lotnymi puchami obłoków. Ale ziemia
nie odsłoniła się jeszcze, chociaż mi-
nał marzec. Nawet leśniczyna nie za-
kwitła białymi, czarna olcha też nie.
mimo że to początek kwietnia. Wciąż
trzymają mrozy.

Muszą jednak rozmięknąć śniegi.
I znowu po pierwszych roztopach
wzbije się ponad wody czałka, na
brunatnoszarach torfowiskach zaczną
tańczyć żurawie, trąbić swe przed-
ślubne fanfary.

A w cieplejsze popołudnia, prawie
aż do samego zachodu słońca, będzie
się rozlegać koźle beczenie kszysków,
wieczorami zaś klekot dębeltów.

Kiwit kiwit wit — zapiszczy toku-
jąca czajka.

Syrinks, Syrinks — poczną szeptać
imie poizeleniałej trzcinicy chwiejące
się na rozlewiskach oczerety.

W BIURZE
PROJEKTÓW

Kreślarz w biurze projektów, mar-
zący na głos o swych dawnych stro-
nach, ma twarz potępienia wspom-
niającego czary ziemskich ogrodów,
najbardziej uciążliwą, gdy blask słoń-
ca chłusnie przez otwarte okno.

W milczeniu przyjmujemy jego sło-
wa. Wszyscy wspomniamy co innego:
tamten — fioletowe kroki Tatr i
ciemnobłękitne goryczki Pienin, tam-
ta — niebieski barwinek; ów — za-
jęczy szcawik, pogrzany w czasie
wycieczki szkolnej, a cierpkawy i kwa-
-

śny inżynier — plaże Morza Czar-
nego, na których nigdy nie był; prak-
tykant — podmokłą olszynę gdzieś
w Europie; jego koleżanka przy naj-
bliższym rajzbracie — marcowe koty
i mokry od rosy fiolek, znaleziony
wczoraj we śnie.

Ciągle nic nie mówiąc, przenosimy
z arkusza na arkusz szczegóły nowe-
go wieżowca, ślicznego przecież, to
wiemy: złożyły się na jego projekt
wieloletnie porażki i zwycięstwa pro-
fesorów: Pawła Klee, Kandynsky'ego,
Waltera Gropiusa ze szkoły Bauhaus
w Dessau, ale dla nas tyle on znaczny,
co partytura trudnej symfonii, prze-
pisywana codziennie od świtu do no-
cy przez skrzypka, dorabiającego do
swej pensji, w czasie urlopu, żmudnie
monetarnie „boki”.

ZGRZYT
KRAJOBRAZU

Dalekie grądy wciąż jeszcze czarne
choć tu i ówdzie wśród drzew
pokazują się zielonkawożółte mgiełki
pąkowania. Obrzeźona berbersami tar-
nina zakwita migdałowymi plomien-
kami. Opodal niej jabłonie o róż-
nych koronach. Ale czasem trafia
się wśród nich odmieniec: biały jak
świeżo spadły śnieg Utrilla.

Te jabłonie, te dębowo-grabowe
grądy, ten potok rozbiłyjszy tysią-
kami barw, ten daleki kamieniec o
wyjeżdżających koleinach i ta rybitwa
kołująca nad wilkami — to wszyst-
ko staje się drażniącym kiczem, kiedy
z szosy zjeżdża ciągnik z przyczepą,
napędzając krajobraz metalowym
głokaniem, tak przeraźliwie donoś-
nym, iż ptaki milkną, ryby drętwieją,
zaś dzieci wzdręgają się we śnie, jak
chorzy w czasie elektrowstrząsów.

na IV roku. Myślę, że dotrąm do
finaku.

— W przyszłości zamierza pan być
choreografem?

— Jeżeli zdecyduję się nim zostać,
to wiem, że największe zadania będę
stawał najpierw sobie. I jeżeli moje
prace okażą się wartościowe, to chy-
ba spotkam się ze zrozumieniem ze-
społu i teatru.

— Jaki więc powinien być — zda-
niem pana — współczesny polski ba-
let, zespół baletowy. Jakże winno być
miejsce sztuki baletowej w kulturze?

— Należy położyć większy nacisk
na rozwój baletu w Polsce. Najwięk-
szym marzeniem całego naszego śro-
dowiska baletowego jest podniesienie
rangi zawodu i postawienie go na
równi z innymi profesjami artystycz-
nymi. Język baletowy jest językiem
uniwersalnym, łatwo docierającym do
każdego widza. Trzeba to brać pod
uwagę i posługiwać się nim więcej
i częściej. Należy zadbać przede
wszystkim o wszechstronne wysoko-
lenie tancerza, dzięki któremu mógł-
by on tańczyć różne rodzaje baletów
w sensie potrzebnych do tego tech-
nik. Powinna być większa ilość cwo-
kadra, swoboda w działaniu, a także
polepszenie warunków socjalnych i
finansowych tancerzy. Osobny roz-
dział stanowi problem stworzenia ba-
letu na wskroś polskiego. Mimo tych
problemów, trudności, niedomogów —
pozostaje optymistą.

— A sam studiował pan na kierunku
tańca w Akademii Muzycznej im.
F. Chopina w Warszawie.

— Ciężko mi bardzo, jestem już

Rozmawiał: BOHDAN GADOMSKI

Nie rozumiem osób pici obojga, które po wielu latach niewiedzenia chcą
się koniecznie zobaczyć, bo kiedyś łączyła je miłość, zauroczenie czy coś
w tym rodzaju. Wszystko zastygło w minionym czasie jak pszczołka w bur-
sztynie, a tu wprowadzenie korekty, poprawek. I widok na co? Na kleskę,
na pobożewisko — Al upuhara!

Co innego, gdy ze względu na to samo miejsce zamieszkania ludzie wi-
dują się od lat i stosunkowo często, nie zauważają więc swojej biologicznej
a czasem i umysłowej degradacji. Gdy spotkam Zygmunta Fijasa — starego
kolegę — witamy się w sposób podobny jak i przed laty, podobnie żartu-
jemy lub psiojemy, docinamy sobie, niekiedy nawet ze sobą zrywamy —
i nawet nie zawsze człowiekowi przyjdzie do głowy, że to przecież ktoś uro-
dzony w 1910 roku... Bo wszystko dzieje się stopniowo, zmiany zachodzą z
dnia na dzień, więc nie dają się aż tak zauważyć. Zresztą Fijas, nie oglą-
dany zbyt wnikliwie, mało zmienił się na twarzy, jeszcze mniej w gestach,
ociężałość widzi się dopiero, gdy na idącego patrzeć dłużej.

Miły Boże! Poznał się w redakcji „Szpilek” przy Piotrkowskiej 96
w 1946 roku. I posłaliśmy zapewne na wódkę, i zapewne nie sami. W do-
datku mogliśmy jeszcze pić wszystko — najchętniej jednak „tate z mamą”
czyli spirytus, rozrzedzony sokiem wiśniowym — i nie myśleć o szkodliwych
skutkach. Później nasze spotkania przy kieliszku były coraz rzadsze, a od
dobrych kilku lat do niczego takiego nie doszło. Może dlatego nie zdążyłem
zbadać pewnej frapującej mnie w życiu Zygmunta sprawy: dlaczego ten
sądeczanin z Krakowa przeniósł się do Łodzi? W Krakowie miał i, jeśli ży-
ja, ma przyjaciół i kolegów o znakomitych nazwiskach, tam, jak mi się
zdaje, był jego właściwszy mikroklimat artystyczny, startował w „Przekroju”
i w „Odrodzeniu”, do dziś np. gotów mówić o Adamie Polewce tak, jak
gdyby ten uroczy brzydal nie umarł w 1956 roku.

Ale dość dywagowania. Przecież to siedemdziesiąta rocznica urodzin wybor-
nego pisarza, tedy zapnijmy guziki marynarki, poprawmy krawat, od-
chrzaknijmy i... sięgnijmy po kilka danych bio-bibliograficznych. Urodził się
w rodzinie murarza w pięknym Nowym Sączu, studiował na Wydziale Prawa
UJ w Krakowie. Był studentem — działaczem i należał do Związku Nie-
zależnej Młodzieży Socjalistycznej. Debiutował w prasie w 1933 roku. W
1946 otrzymał nagrodę literacką woj. krakowskiego. Wykaz jego
książek nie zajmuje zbyt wiele miejsca, oto w kolejności: „Portret z sera”
(dwa wydania, Czytelnik 1954 i 1958), „O szkodliwości kominów” (Wyd.
Łódzkie 1964), „Z notatnika prowincjusza” (Czytelnik 1966), „Twarzą do tyłu”
(WE 1970), „W krainie majaczeń” (grotecki, Czytelnik 1972). Niewiele? Nie
wiele, jak na nasze czasy, gdy niektórzy pisarze już nie tworzą, ale ra-
czej „produkuja” kolejne książki. (Co innego, ludzie po prostu artystycznie
wydajni!) Wiele zaś, jeśli oceniać ich walory.

O młodości Zygmunta mam w domu tylko jedną wzmiankę. W książce
Artura Sandauera „Zapiski z martwego miasta” (Czytelnik 1963). Autor o-
puszcza Łwów, by uczęszczać na UJ. Pisze m.in.:

„Zamiłowanie do urbanistycznej fantastyki zaczęło się u członków grupy krakow-
skiej z ideologią zdecydowanie komunistyczną. (...) W okresie naszej znajomości grupa
ta — już w znacznej mierze po studiach — wydawała — niegdyś akademickie, obecnie
literacko-społeczne — pismo „Nasz Wyraz”, którego redaktorami byli Kornel Fil-
piewicz i Helena Wielowieyska, czołowym krytykiem Ignacy Fik, czołowym humorystą
— Zygmunt Fijas, a bieżącym poetą — Julian Przybóś. Pismo to, z którym na-
wiałem współpracę literacką w 1939 roku, znajdowało się — jak całe środowisko —
pod podwójnym werwaniem: jednolitego frontu antyfaszystowskiego w polityce i a-
wagardii w sztuce...”

Istnienie tego pisma było mi znane, choć wzajemna komunikacja między
pisaniami prowincjonalnymi, nie wiadomo o co opierającymi swoją egzy-
stencję, była trudna. Niemniej, doszedł do mnie „Nasz Wyraz” z recenzją
(Michała Chmielowca?) o mojej pierwszej książeczce wierszy.

Recenzenci nie szczędzili na ogół Fijasowi uzasadnionych pochwał. Muszę

SIEDEMDZIESIĄTKA? ANO TAK...

przyczytać fragmenty swojej o Portrecie z sera („Twórczość”, IV, 1956).
„Zygmunt Fijas — łódzki krakowianin z Nowego Sącza — jest debiutem tylko for-
malnie. Choć dopiero niedawno wydał książkę, przecież od lat znamy go z rozrzu-
conych po czasopiśmie felietonów, z fragmentów prozy powieściowej, a nawet z kil-
ku — bliższych jego prozie — wierszy. Chce przez to powiedzieć, że Fijas od dawna
dysponuje warsztatem dobrego prozaka, dobrze zapracowanym i ukształtowanym. Am-
bicja właściciela powinno być coraz śmielej tego warsztatu wykorzystywanie, innymi
słowy: sięganie po bogatsze treści, aktywniejsze rozglądanie się wokół siebie.”

Jego prozę cechuje duża znajomość realiów z różnych dziedzin życia, zestawia te re-
alia w rozmaity sposób (najgorszy z nich — na szczęście występujący rzadko — kolek-
cjonerki), służy ona humorystycznym, dowcipnym spletnieniom. Zespala słowa w we-
sole wroty, nadaje słowom własny — uzasadniony przebiegiem narracji — sens. Jest
to proza oryginalna, Fijasowska. (...)

Ślady jakby programu satyryka można wykryć, czytając humoreskę „Samosąd”.
Negatywny bohater humoreski, gdy do niego zgłaszają się z pewną sprawą, protestuje:
„Ale to są drobne wycinki życia, zrozumcie. Jakby to powiedzieć, to nie
są sprawy frontalne. Jeśli będziemy tracić czas na załatwianie takich głupstw,
to nie będziemy mieli czasu na załatwianie spraw poważnych. Takie głup-
stwo... achi!”

(...) Dowcip Fijasa nie należy do gwałtownie eksplodujących, nie pobu-
dza do „zrywania boków ze śmiechu”, ale za to działa na dłuższą metę...”

Fijas miałby książkę więcej, że tak się nie stało (może się stanie!) kilka mo-
żna podać przyczyn, a przede wszystkim jedną, trudną do wyjaśnienia. Zaczne
od faktu W 1946 roku na czwartym piętrze owej Piotrkowskiej (tyle razy o
tym wspomniałem) mieszkali Fijas i jego żona, która w tym czasie była w ciąży.
„Czytelnik” „Przekroju” i „Książki” fragment powieści Zygmunta (ze „Studni
św. Floriana”), znakomicie oddający atmosferę małego miasteczka. Jego nuda
i bezwzględność, ale i swoista poezja. Umówiliśmy się z dyr. Zofią Dembińską
i z Zygmuntem na dole, we „Frascie”. Ufając mojej rekomendacji, p. Zofia zapro-
ponowała na poczekaniu podpisanie umowy na powieść i zaliczkę w wysokości
ówczesnych 50 000 złotych. Zygmunt się ucieczył: pieniądze kuszą, ale oświad-
czył, że „jeszcze musi popracować nad tekstem”. W duchu skłamał go od idiotów,
któż to nie bierze zaliczek, stary zwyczaj? Zygmunt chyba do dziś „pracuje
nad tym tekstem” jeśli o nim nie zapomnieli na amen.

Do innej jeszcze sprawy, zasygnalizowanej w cytatach z recenzji, a iron-
icznie nazywanych przez pisarza „głupstwem”, warto szerzej powrócić.

Wielki temat może stać się małym, gdy mu się nie nada wielkości ar-
tystycznej. I odwrotnie. Fijas tropi pozornie drobne anomalie w życiu, w
naturze i działaniu ludzi. Humor jest poznanem anomaliami (to Ch. F.
Hebbel za pośrednictwem Karola Izykowskiego). Anomalia, „głupstwa”,
nieprawidłowości, odchylenia od zdrowego rozsądku — mogą być drobne,
ale prowadzić do poważnych, fatalnych skutków ujemnych o szerokim zasię-
gu. Zauważaj lekceważymy te drobne anomalie, a potem okazuje się, że
były już za zarodek czegoś bardzo paskudnego. Ot, pierwszy lepszy przy-
kład z życia: w instytucjach, urzędach, placówkach, sklepach — wszędzie
widnieją tabliczki ze słowem „przepraszamy”. Za wszystkie niedociągnięcia,
wadliwe czegoś funkcjonowanie, za gehennę klienta czy interesanta z góry
przepraszają, czując się po prostu zwolnieni z obowiązku prawidłowego
organizowania działalności. Przepraszali, więc o co chodzi?

Pewno w twórczości Fijasa sytuacji ludzi lub ludziów pozornie nie-
groźnych, ale do czasu, do czasu. Jeszcze przed wojną Fijas wydrukował
humoreskę „Cezar w łazience i wuj Ignacy”. Niby to sprawy domowe, a prze-
cież, gdy się lepiej wyczyta w tekst, chodzi o istotę osobowości dyktatora.

Fijas uważa się za prowincjusza, podobnie jak na inny nieco sposób
piszący te słowa. Raz miał przynajmniej przez ZLP pobyt w Rumunii, ale się
nie zdecydował. Namawiałem „faceta”, ale na próżno.

A jednak o związkach tego prowincjusza z kulturą europejską mogą do-
wodzić świadczą choćby groteski „W krainie majaczeń”. Także parodie
literackie. Prowincja, wciąż odległa. Jako temat, nie zaś jako określenie
horyzontów myślowych. Znajduję też niekiedy w utworach dobre oczytanie
w twórczości Rabelaisa.

Mało pewnie kto wie, że byłwał malarzem.

Fijas ma etykietkę satyryka. Proszę bardzo, jednak z pewnym istotnym
zastrzeżeniem.

Przed laty mieliśmy wspólne spotkanie autorskie w sympatycznej
bibliotece dzielnicy Koziny. Fijas bardzo się tremował, przyniósł ze sobą
reklamun (chyba raczej meprobat?), z czego i ja, choć nadabiałem miną
— skorzystałem. Mimo życzliwie nastawionych słuchaczy — a to się wyczu-
wa po paru minutach i obie strony na tym zyskują — czytanie humoresek
szło mu zrazu niesporo. Znakomicie wypadły małe prozy poetyckie, potra-
fił nawet wydobyć z nich melodie. Po tym wieczorze uświadomiłem sobie,
że ledwie dostrzegłem Fijasa jako poetę, twórcę poezji w prozie (choć
może jej nie być w wierszach nawet).

Dlatego z tekstów Jubilata wybrałem „Cztery wiosenne notatki prozą”.
Zwłaszcza, że wiosnę mieliśmy na obłogę, zaś te teksty śmiało można
ustawić obok notatek poetyckich znakomitego pisarza rosyjskiego, Michaiła
Priszwina, którego Zygmunt zresztą nie zna.

Na zakończenie tych fragmentarycznych uwag i wspomnień — jeden
zgrzyt. Dwa lata temu na wyborczym zebraniu Oddziału ZLP Michał Mie-
czyński dwójka imion Szargan wystąpił pod adresem Wydawnictwa Łódz-
kiego z apelem, aby wydać wybór z dorobku Fijasa. Później w liście do Wy-
dawcy poparłem ten apel i ja. I nic! Nie było nawet owego „przepraszamy”!

Czas najwyższy odrobić tę żenującą zaległość!

Takiej książki i zdrowia życzę Zygmuntovi Fijasowi, który ukończył sie-
demdziesiąt lat!

JAN HUSZCZA

przez francuską publiczność, mamy
dobre recenzje, które zamieścił jeden
z największych magazynów baletow-
ych na świecie „Les saisons de la
danse”.

— Czy swoje zagraniczne wrażenia
i doświadczenia będzie pan spisywał
i publikował?

— Na razie opowiadam o nich ko-
legom i znajomym. Może kiedyś, gdy
przeestanę tańczyć i zasiądę w wygod-
nym fotelu...

— Przynam się, że trochę zasko-
czył mnie pan swoją nową rolą pu-
blicysty (artykuł „O kompetencjach”
na łamach „Kultury” nr 35). Czym
był pan zainspirowany do tego wy-
stępu?

— Od dłuższego już czasu nurtu-
wały mnie sprawy baletu, jego rola
w teatrze i w społeczeństwie. Chcia-
łem publicznie zabrać głos na tematy
związane z tańcem, których nie mo-
głem zrealizować. Ostatecznie zmobi-
lizowałem mnie do tego znany krytyk
baletowy Jan Berski, któremu jako
jednemu z nielicznych ludzi w Pol-
sce leży na sercu dobro baletu i jego
rozwój. W wyniku naszych rozmów
powstał artykuł „O kompetencjach”.

— W artykule tym wspominał pan
o niezależności się artystycznym
baletu od opery. Dlaczego balet chce
działać samodzielnie, choć w ramach
teatru muzycznego?

— Ta samodzielność baletu w tea-
trze muzycznym jest chyba niemożli-
wa z uwagi na duże trudności ekono-
miczne w utrzymaniu takiego zespó-

łu. Na uwadze miałem głównie fakt,
że dyrektor naczelny przeważnie by-
wa muzykiem i zawsze będą go inte-
resowały utwory pod względem mu-
zycznym. Dokonując wyboru repertu-
aru, bierze się pod uwagę stronę mu-
zyczną dzieła, pomijając jego wartości
choreograficzne. Nie będąc znawcą
baletu dyrektor bywa nieorientowa-
ny w poziomie swego zespołu baletow-
ego i nie wie jaka pozycja reper-
tuarowa byłaby dla niego najbardziej
odpowiednia. Podobnie ze znajomością
realizatorów przedstawień baletowych.

Uważam, że o tych sprawach winien
decydować fachowiec postawiony na
czele zespołu z pełnymi kompeten-
cjami, uprawnieniami, samodzielnymi
decyzjami i odpowiedzialnością za to,
co robi.

— Wykłada pan taniec na Wydziale
aktorskim PWSFTiTu w Łodzi. Czego
starają się nauczyć przyszłych akto-
rów?

— Moim zadaniem jest dbać o
sprawność ruchową studentów, bo
aktor doby współczesnej, to wszech-
stronnie wykształcony fachowiec.
Współpraca z młodzieżą aktorską
układa mi się bardzo dobrze. Sądzę,
że osiągnęliśmy wzajemne porozumienie,
a przecież na nim opiera się cała
reszta, w tym również osiągnięcie
celów pedagogicznych, które sobie po-
stawiam.

— A sam studiował pan na kierunku
tańca w Akademii Muzycznej im.
F. Chopina w Warszawie.

— Ciężko mi bardzo, jestem już

Rozmawiał: BOHDAN GADOMSKI

EWA FILIPCZUK

O NADZIEI

andrzejowi szubie

- wszystkie nasze przywidzenia
i kłeski
mają nadzieję
uciekać maria na osiołku
dom opuszczony
i dziecko które płacze
każę co prawda wątpię
— ale mamy nadzieję
- nadzieja na przyszłość i przeszłość
bez lęku
pełna łagodności a nie desperacji
nadzieja
że wybaczymy
że zwyciężymy
że nie umrzemy
- mamy nadzieję
pięknie przybraną (jak pochód majowy)
— moja pobiegła
aż tam gdzie (mam nadzieję) jesteś
a twoja
ciemniejsza niż ocean
z powagą
przebywa drogę stąd — dotąd
i mówi o śmierci ale naprawdę
naprawdę myśli o czymś innym

nie będę się upierała
weź mnie
na zawsze
(jest to nadzieja w kolorze nadziei
przypis do wiersu drugiego
błędne koło)

Po moście Luna Island płynęły karety
spacerowali przybysze przeniknięci chłodem
(ruda trawa na brzegu zastęga obłoki)
Mieszkańcy tej oiszy zwietrzałej wiedzą więcej niż
pytają zapominają gdzieś na pewno są
Niagara swoim szumem kusi samobójców
i moda się zmieniała ale niedorzecznie —
próchnie most odległy w przestrzeni i w czasie
przeszłość czerwonych powozów i historia koni
kolysze się inferno jak woda spieniona

człowiek posiadłby wolność
mogąc powiedzieć rodzicom
aby go nie poczynali
pewnej ciemnej nocy znużeni
miłością
lub jej brakiem lub brakiem wyboru
odwetem

dano mi jedną z możliwości
włożono we mnie przypadkowy płód
który po jakimś czasie zaczął mówić
mamo
a wcześniej
uczyniono to samo z moją babką
stara kobieta która już nie żyje
zostawiła mi w dziedzictwie
mało miejsca na ementalzu

ANDRZEJ BABARYKO

PIES WYJE DO KSIĘŻYCA

Kiedy przychodzi najgorsze
mur bije po głowie
Północ
na tarczy dobrego i złego
twoje i nie twoje winy
Spadają obrazy lamentują zwierzęta

Kto powiedział że skruca jest mocą
Dochodzą
jęki przyjaciół półsennych żywych
półczuwających
Północ
godzina galopów miastem
zapachów
mirry kadzidła i śmierci
Królestwo twoje
Ten człowiek — jeszcze się nie narodził
Tylko
świat kryjówek na strychach w mendlach zboża
i ziemia rodząca owoc...
Raz jeszcze
lekko kolysząc się
w zwykłe ludzkie sprawy Ojcie nasz
w podartej godzinie
święt
Inne planety Czas
którego nie będzie
Głowy przyjaciół jak kapelusze słoneczników
Strach o jedno jedyne życie

Nie rozmiennie krzyczą choć
nikt nie poruszył wargami

MUZEUM SERC

Muzeum Serc
Obudź się
płachta dnia oczekuje topielca
Na ulicach
strażnicy obecności
nie nie będzie dane
Mały chłopczyk
odnajdzie książkę bez obrazków
A serce — muzeum chmur odda
na przechowanie

ANDRZEJ BABARYKO

PÓŹNE POPOŁUDNIE

Panno nadziejo panno
dziewko
pusty posążku z oliwnego gaju
Hosanna
by ten co zgłębia ducha i ciała przekorę
Mój brat pieniąż
mój brat z kosmosu
i Ty
prześmiewco
piasku ziarnisty pomiędzy myślami
i Ty
wariatko co się wgrzyzasz w usta
Woda topielców kusicielu nocy flegmo
za którą czołga się poezja
Na gody proszę
szerokie tapczany
i Ty
Miłości moja — gruszo chuda
bękartów złocisz się chmurą zbyteczną

Homo sum humani nihili Amen

MIŁOŚĆ

Mała kieszeń pod żebrem
dom miłości
kieszeń za mała
czy za duże słowo Rozgrzany
chodzę po płytach marmuru Wdycham
wilgotne powietrze
Małe miejsce pod żebrem Otworzyć
a popłynę krwotokiem dookoła umarłych snów
Mały zielony ogień iskra bursztynu
spalająca tynk
Wyspa
przesunięty błędnik gdzie nie dopłynie
okręt spełnień

BOŻENNA MARKOWICZ

KWESTIONARIUSZ

Bez pseudonimu urodzona
Zamieszkuje pod tym samym stale adresem z telefonem
Polska Panna Bezdzietna
Kształcona do wyżej w czasie odpowiednim na wydziale
Można powiedzieć mało konkretnym
Otrzymuje Nie utrzymując Utrzymywana
Korzysta ale nie przynależy
Specjalizuje się
Jeśli przynależy to na krótko
Wystawia rozsądnie z pośpiechem tylko przed terminem
Nie wyróżniana
Bez udziału poza
Przyrodę lubi coraz bardziej
Realizacji wyższej rangi w rękę wziąć nie można ani
zmiężyć
Nie nagrodzona jak dawno pamięta chociaż w domu
Reprodukowana i recenzowana w rozmowach prywatnych
Zamierza na przyszłość
Parę dodatkowych uwag posiada jednak bez całkowitej
pewności
Dokumenty w szufladzie poprzekładane dniami czasem
chwila
Różnie to już nazywała czeka chociaż kocha tylko teraz

W noc do drugiej rozmawialiście dopiero po pięćdziesiątce:
konkurencja została dla młodszych razem z brakiem
zaufania
żony mają wady podobne
dzieci jak to zwykle dobrze uczyć się
szczęści się nie w jednym to w drugim ale nie
jednocześnie
kłopoty są nie w portfelu a nie ta siła co dawniej
wakacje spędzicie tymczasem już razem
mężczyźni rówieśnicy powojenni
z pracy własnych rak wszystko i z rodziców co byli
wiele było do zyskania nie do stracenia było
mówicie.

skrzydła nieznany myśliwy przestrzelił nam już w ciebie
matki
w jasność i ciemność śnimy o locie pięknym
czasami skaczemy konkretnie znając rachunek
lepiej nie próbować więcej
fruwamy tylko nocą
ramionami zamach raz i drugi
błogo tak płynąć bez ciała
dusza myzyka bez celu bez końca światłem
lot przechodzi w sen nie wiadomo kiedy
nie chce nas a kochamy orły
sami rodzimy niekiedy kuropatwy

CO TO KOBIETA

Co to kobieta
nie wiedziałbyś bez dotyku dłoni
Oczy nie kłamią
ale co widzą nie jest całą prawdą
Bliżej stąd do smaku
a dotknięcie miękkie i gwałtowne
już prawie gasi pragnienie

szczęście rzadko ma uśmiech mężczyzny
bywa wierzba o hojnym cieniu i zapachu
niebem wysokim jaśniejącym
jest miękkim zapadaniem w sen
serdeczną herbatą u przyjaciół
garstką słów życzliwych i nieważnych
spokojem starych ludzi drzemających na ławce
porannym budzeniem się z nadzieją może
może tęsknotą w wyczerpaniu po pracy po walce po
twoim spokojnym głosem z daleka
ręką pocieszającą
kartką białą

RYMWID MACIEJ KONONOWICZ

KONIEC SONETU

Tutaj sonet się kończy. Czas wreszcie rozpocząć
Zwrot naszych małych światów ku rzeczom współczesnym.
A w życiu, jak w sonecie, rymuje się czasem
Co druga linia w wierszu, lub też żadna — nigdy.

I rytmy pozostają — dreptanie przez życie
Albo krok zamaszysty — jak asonans w wierszu.
Musimy się z tym zgodzić, poeci żebracy
O słowo trafne, jasne i o czyn skuteczny.

I wiersz nienapisany, i krok nieodbyty
Stykają się na linii jak ciężka cienkie.
To my, linoskoczki — poeci, na linach

Skaczemy ponad próżnią na pajęczej nitce.
To my, zwyczajni ludzie, dobywamy z siebie
Trafny krok ku jutru i pełną gamę dźwięków.

PRZEZNACZENIE RZECZY

sufit służy
do niechodzenia po nim
i do zadzierania głowy
także do podnoszenia głowy
przeznaczony jest balkon
na który wychodzisz
gdy ciebie zawołam
a twoje podwórko
służy do wołania ciebie

gdy ciebie nie ma
wszystko
traci swoje przeznaczenie

LUSTRO

tu
jestem przywrócony sam sobie
zrobiłem to tak szybko
że ujrzałem
swój poprzedni ruch
kiedy ruch spełniał
odgadną go przedzi
niż ty go uczynisz

moje lustro
służy do odwracania świata
i kiedy odejdziesz
ustawię je na twojej drodze
i uczynię ją drogą powrotną

BĘDZIEMY SOBIE OBCY, WSPÓLNI

Będziemy sobie obcy
tak będzie najlepiej
to będzie najlepsze
albowiem jedyne wyjście
z uliczki bez wylotu
w kosmos egoistycznych galaktyk

Będziemy sobie wspólni
sami dla innych
jak cudzy dzień
przywiązany do cudzych nóg
tak jak więzienna kula
ziemska tak bardzo
że bardziej nie

KRZYSZTOF SMOCZYK

narodzie
gdy narodzi się człowiek
strzelaj w niego celnie
butelkami mleka
przewijaj cierpliwie
kilometrami pieluch
olśniewających jak bandaże
i niech brzdąc będzie religijny
niech kocha czerwony krzyż
jak swój własny
obrastający teraz pięknie
bluszczeniem mięśni
które nocą
zaszeleszczą mu
kolysankę strachu
okałą pieszczotą trwogi
i złożą układ kostny do ucieczki
w pierwsze ranne istnienie

noworodki odmówią przyjęcia na świat
ze statystyczną regularnością
na stołach operacyjnych
będzie rodzić się pustka
ginekologdy wyjdą na ulice
by w dreszczach neonów
prowokować masowe orgie
zagubiona opinia publiczna
przestanie tropić nieznaną sprawców
porzucających na ścieżkach iskry nieostrożności
i zewsząd płonące lasy ogarną nas
jak jedno ciało ludzkość
urojoną ciężką matki ziemi

kobieta w południe
gra hejnał w ustach mężczyzny
strumyki potu występują im z brzegów skóry
gdy on na wyniosłości jej brzucha doznaje miejsca
w którym zawiązało się wszelkie piękno
i po omacku wchodzi swoje ciało w dolinę
gdzie zmęczona przyroda
złożyła kiedyś ciężar płci
po czym wybiega we wszystkie strony lekka

Listopad 78

Sierpień 79

„Cóż, teatr to przedstawienie, na którym doznajemy intelektualnej i emocjonalnej satysfakcji, ale także dodatki: popularność aktorów, sensacyjność wydarzeń artystycznych, krytyka teatralna, publikacje, ekspozycje, zapis czasu uciekającego, czyli ludzie i ich dzieła” — taką definicję jednej z najstarszych, najżywszych, a przez to najpiękniejszych sztuk znalazłam w podsumowaniu publikowanych niedawno na łamach „Ogłosów” Macieja Łukowskiego rozważań o kulturze teatralnej naszego miasta. Rozważania te pełne są optymizmu, bo mamy w Łodzi przedstawienia (średnio ponad czterdzieści premier w sezonie i około stu tytułów pozostających w bieżącym repertuarze w skali jednego roku), „mamy w Łodzi wielu znanych i popularnych aktorów często występujących w filmie i telewizji”, mamy sensacyjne wydarzenia artystyczne (np. „Rewizor”), mamy krytykę teatralną na łamach trzech dzienników, jednego tygodnika, w lokalnych programach radia i telewizji, mamy naukowy ośrodek badań teatrológicznych, mamy publikacje książkowe (w ostatnich latach dwie), mamy ekspozycje (na ogół czasowe), „zapis czasu uciekającego” (chyba tylko w postaci dokumentujących spektakle recenzji bo nie mamy np. choćby najprostszą metodą dokonywanych filmowych zapisów przedstawień), „mamy ludzi i ich dzieła”. Mamy też cel: wygrać ze stolicą!

Jesteśmy bliscy zwycięstwa, bo „atrakcyjność zespołów teatralnych, aktorów, dyrektorów(i), reżyserów daje szansę na skuteczną konkurencję z Warszawą”. Mamy wszystkie składniki teatru z jego cytanowalę przeze mnie na wstępnie definicji jaką skreślił dyrektor Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Miasta Łodzi. Czy jednak mamy życie teatralne? Wszak z naszym „zinventoryzowanym” tu pokrótce teatralnym majątkiem winno to życie teatralne kwitnąć niezwykle bujnie. I może nawet byłoby z nim bardzo dobrze, gdyby nie to, że jest źle, bo mamy wszystko oprócz publiczności. Bagatel!

Czy mamy szansę, żeby ją mieć? Mamy, bo w Łodzi jedno teatralne miejsce przypada na stu pięćdziesięciu jej obywateli. Do tego jednego miejsca, każdego z teatralnych wieczorów winno ustawić się przynajmniej kilkudziesięcioosobowa kolejka. Wszak nie tylko dla aktorów podnosi się co wieczór kurtyna, sztuka teatralna nie istnieje sama dla siebie, rodzi się w kontakcie z odbiorcą i wymaga pełnego z nim kontaktu, a warunkiem jego nawiązania jest wzajemna znajomość. Fakt, iż mieszkańcy Łodzi nie tylko nie „biją” się o teatralne miejsca, ale często zostawiają je puste, (co wiem zarówno z własnych, co dziennych obserwacji, jak i udostępnionych mi onegdaj do innej, a poświęconej problemowi frekwencji w łódzkich teatrach publikacji, danych liczbowych) pozwala mi przypuszczać, iż owa wzajemna znajomość jest pobieżna i powierzchowna.

Może zatem miast daleko konkurować z Warszawą w atrakcyjności aktorów i dyrektorów (bo mamy ich już zaiste świetnych) warto skupić się na zaprogramowaniu i realizacji skuteczniejszych niż dotychczas działań edukacyjnych, lub inaczej — obydwu zainteresowanym stronom ułatwiać wzajemne, pełniejsze poznanie. Czy teatry łódzkie, z których każdy realizuje własną, odmienną niż inne linię repertuarową, znają swoich widzów? O dziwo — nie. Nie prowadzą żadnych badań (bo nie są do nich zobowiązane, co zupełnie naturalne), ale też nikt im w zdobyciu tej orientacji nie pomaga, choć oczywiście poprzez analizę zamówień na bilety, mogłyby ją posiadać. Czy widz łódzki zna teatr i repertuar naszych scen. W większości wypadków — także nie, bo nader ską-

A GDZIE PUBLICZNOŚĆ?

po jest o nim informowany. Teatry pilnie strzegą tajemnicy narodzin swych przedstawień w zasadzie nie informują o ich przygotowaniach. Skape wzmianki w prasie publikowane zazwyczaj w dniu premiery giną w natłoku informacji, a bilety dostarczane do zakładów pracy przez kolporterów, to przyszłowiowe koty w worku, w których urodę i wartość kupujący wcale nie musi wierzyć. Zakłady pracy skargą się na brak informacji i ciekawszych form reklamy przedstawień, teatry ubolewają nad brakiem widzów.

Na półkach księgarskich brakuje popularnych wydawnictw teatrológicznych, które niosłyby wiedzę o historii teatru i dramatu. Z popularyzowania wiedzy o teatrze, o autorze prezentowanej sztuki, o epoce czy kierunku, który ją zrodził zrezygnowali redaktorzy programów teatralnych. Niektóre teatry zdają się rezygnować z programów (czasem nie ma ich nawet na premierach), a przecież one właśnie mogłyby stanowić podpręgą i wygodną biblioteczkę wiedzy o teatrze. Wobec ewidentnych braków informacji i reklamy ze strony teatrów widzowie łódzcy kierują się intuicją, chodzą na „tytuły” i sztuki, o których głośno mówi wreszcie „fama”. W większym lub mniejszym stopniu wypełniają teatralne sale nie wiedząc, iż są nieznajomymi (bo żaden teatr nie wie, jakich widzów gości u siebie danego dnia, mimo iż widownia jest „zorganizowana”), jeśli zatem toczy się jakiś dialog (a sądząc z tego jak często aktorzy mówią o „zimnej” publiczności, nie zawsze udaje się go nawiązać) to rzadko, przybiera on charakter gorącej dyskusji, częściej na linii wid — teatr toczy się „taka sobie” rozmowa, po której obie strony, nie poruszone i bez żadnej emocji rozchodzą się do domów.

I tak oto wzajemnymi kontaktami w zbyt dużej mierze rządzą nie sprzyjająca ich rozwojowi przypadkowość działań i decyzji. Widzowie nie wiedzą na co iść, albo też nie wiedzą na co z zakupionym lub otrzymanym w zakładzie pracy biletem iść do teatru. Element zainteresowania niewiadomym trzeba tu wykluczyć, z rzeczy nieznanych i nie budzących ciekawości rezygnują się dość łatwo (zwłaszcza, gdy na dodatek w tym samym czasie na domowym ekranie „leci” ciekawy film) co w wielu wypadkach jest przyczyną owego wielce „tajemniczego” zjawiska pustych widowni mimo pełnych kas. Wszak nasze teatry realizują plany finansowe nie mogąc wykonać „planu widza”, czyż nie tak?

Najłatwiejszym do wyciągnięcia wnioskiem jest twierdzenie o rzekomej specyfice łódzkiej publiczności, o tym, że jest ona „trudna”. To zbyt łatwe, nie dajmy się zwieść wygodnym pozorom. Widzowie łódzcy niczym nie różnią się od widzów z innych ośrodków, i u nas atrakcyjne, dobrze reklamowane wydarzenia teatralne potrafią przyciągnąć tłumy. Publiczność łódzka ma tę samą wrażliwość i podobne, wykształcone choćby przez telewizję upodobania. Z racji wielkoprzemysłowego charakteru naszego miasta i zmniejszenia pracujących kobiet będących zazwyczaj inicjatorkami uczestnictwa rodziny w kulturze, z powodu ciągle jeszcze niezbyt wygodnej komunikacji i znacznej odległości wielkich osiedli mieszkaniowych od „kulturalnego centrum” decyzję o wzięciu w teatrze podejmuje się u nas z większym namysłem, musi być umotywowana autentyczną potrzebą zrodzoną z ciekawości dla konkretnego tytułu.

Te autentyczna potrzeba uczestnictwa w życiu teatralnym winnyśmy budzić szerzej pomyślanymi działaniami upowszechnionymi. Może na szerszą skalę mógłby w nich pośredniczyć Łódzki Dom Kultury posiadający przecież studio, w którym nagrywa się audycje dla radiowców zakładowych, może warto rozszerzyć zakres działania Klubu Miłośników Teatru, może teatry zechciałyby szerzej i skuteczniej informować widzów o swoich przedstawieniach. Jak łódzkie sceny i zakłady pracy realizują porozumienia: zawarte w ramach „Sojuszu świata pracy z kulturą i sztuką”? Które systemy abonamentowe w niewielkim, jak wskazują na to doświadczenia poprzednich lat, stopniu przyczyniają się do zadzierżnienia tej prawdziwej, emocjonalnej, gorącej więzi między odbiorcą i dziełem.

Sa ludzie i dzieła. Sa przedstawienia, sa aktorzy, reżyserzy i dyrektorzy. Jest dobrze. Jeszcze nie jest bardzo źle.

EWA PANKIEWICZ

ROZMOWY O KULTURZE

KSIAZKA

Łódzka literatura faktu wzbogaciła się o nową, bardzo interesującą pozycję. Jest nią barwnie i żywo napisana książka wspomnieniowa Adama Ochockiego — „Reporter przed konfesionalem” czyli jak się przed wojną robiło gazetę. Tytuł jest długi, ale skromny. Wspomnienia Ochockiego dotyczą bowiem nie tylko spraw ściśle dziennikarskich, ale są znacznie bogatsze. Mówią w ogóle o Łodzi lat międzywojennych, co zresztą zrozumiałe. Młody reporter wędrował przecież po mieście, poznawał sprawy i ludzi z różnych kręgów — i nie tylko o dziennikarstwie opowiada teraz po latach.

Wspomnienia Ochockiego są nader interesującym przyczynkiem do dziejów Łodzi. Autor przypomina wiele zapomnianych wydarzeń, przywołuje wiele postaci z łódzkiego Parnasu, — jego książka roi się od anegdot, faktów, dat i szczegółów.

Jest to lektura znakomita — wyczuł to doskonale wydawca ustalając nakład książki na 20 tys. egzemplarzy. Książka zresztą zniknie błyskawicznie z półek księgarskich — zaleca się bowiem lekkością stylu, załadunkowa jest mnóstwem postaci i tylko szkoda, że wydawca nie zaopatrzył ją w indeks nazwisk.

Współczesny czytelnik nie zdaje sobie

absolutnie sprawy z tego jakimi prawami rządziło się przed laty dziennikarstwo. Ten egzotyczny dzisiaj świat, odkrywany przed nami Adam Ochocki. W wielu sprawach relacja autora jest bezcenna. Któż po latach będzie wiedział o tych wszystkich topograficznych i personalnych szczegółach rozsypanych na kartach wspomnień Ochockiego.

Egzotyka, dowcip i lekkość stylu są największymi walorami tej książki. Warto

ZWIERZENIA REPORTERA

też dodać, że jest to — do pewnego stopnia — książka „ogłosowa”. To przecież na łamach naszego pisma drukował Ochocki przed laty jej pierwsze fragmenty.

Komplementując autora i jego książkę trzeba jednak zwrócić uwagę na pewien subiektywizm, który — oczywiście — jest dobrym prawem pamiętnikarza, ale nie może przesłaniać faktów obiektywnych. Książka Ochockiego jest znakomitą lekturą, oddającą klimat lat minionych, ale nie zawsze może służyć jako źródło dokumentalne. Nie taki zresztą zamysł przy-

świecał autorowi. Niemniej jednak trzeba przypomnieć — na przykład, że nie Alfred Strauch założył pierwszą w Łodzi wypożyczalnię książek — lecz próby takie podejmowano o wiele wcześniej — i już w 1898 r. wypożyczalnię przy Dzielnej 3 prowadziły Kaplińska i Szopska. Z tej biblioteki powstała potem (przeniesiona na Andrzeja 5) słynna Łódzka Wypożyczalnia Książek H. Rogowskiej. Nie „Czyhanie na Boga” było pierwszą książką Tuwima, lecz „Rewolucja w Niemczech” wydana w Łodzi z ilustracjami Artura Szyka w 1918 roku. W łódzkiej premierze „Wesela” Żelwerowicz nie grał Gospodarza, lecz Czepca; anegdota o pomyłce drukarskiej („pan wojewoda stał z odkrytą głową...”) pochodzi z Krakowa i spopularyzował ją przed pół wiekiem Boy-Zeleński w swoich wspomnieniach...

Oczywiście są to drobniaczki i nikt nie wymaga historycznej drobiazgowości od autora wspomnień. Pamiętnik zawsze jest dzieckiem pamięci I. Freuda; na tym zresztą m.in. polega urok literatury wspomnieniowej. Książka Adama Ochockiego przedstawia nam subiektywny obraz lat minionych, lat widzianych przez pryzmat własnej pamięci autora.

JERZY WILMAŃSKI

Adam Ochocki — „Reporter przed konfesionalem”, Wyd. Łódzkie 1980, cena 36 zł.

FILM

Robert Altman, działający w Stanach Zjednoczonych jako tzw. reżyser niezależny, (czytaj: posiadający własną wytwórnię i robiący filmy za własne pieniądze), wykorzystuje tę możliwość w sposób budzący powszechne uznanie. W kinie amerykańskim na przykładzie enigmatycznego i trudnego do jednoznacznej interpretacji filmu „Dzień weselny” (ang. „The Wedding Day”) w którym satyra obyczajowa i komediowe sytuacje miesza się z wątkami społecznymi i tragizmem jednostkowych losów. Bogactwo wątków prowadzi często w jego filmach do zacierania głównej osi fabularnej, ważne stają się mikro-sytuacje, typy bohaterów, ich zachowania i reakcje, jak gdyby podglądane dialogi, życie podpatrzane, zapisane na go-

sobów portretowania indywiduów i zbiorowych bohaterów. Luźna struktura fabularna filmów Altmana sprawia, że mamy w nich do czynienia z wielopłaszczyznowym, trudnym do jednoznacznej interpretacji widowskim, w którym satyra obyczajowa i komediowe sytuacje miesza się z wątkami społecznymi i tragizmem jednostkowych losów. Bogactwo wątków prowadzi często w jego filmach do zacierania głównej osi fabularnej, ważne stają się mikro-sytuacje, typy bohaterów, ich zachowania i reakcje, jak gdyby podglądane dialogi, życie podpatrzane, zapisane na go-

jednakże być wobec nich choć w części adekwatne.

Ostatni z przypomnianych filmów, czyli obecna w bieżącym repertuarze „Idealna para” może być uwag tych potwierdzeniem, z jednym tylko dopowiedzeniem — jest to najbardziej, ze znanych nam, pogodny film Roberta Altmana. Film, w którym przenikliwa, gorzka ironia schodzi jak gdyby na plan dalszy, choć Altman nie byłby sobą, gdyby ją zagubił. Można zresztą przypuścić, że do jej pokładów nie zstąpią wszyscy widzowie, dla których „Idealna para” może posiadać wartość głównie jako znakomite zreali-

zowanych akcji, z bogactwa sytuacyjnych i psychologicznych zachowań i reakcji bohaterów wyłania się powoli typowy dla Altmana problem i klimat — portret i historia ludzi, którym zabrano prawo do prywatności życia i indywidualizmu osobowości.

Jak na komedie przystało, bohaterowie pochodzą ze skrajnie różnych i nie przystających do siebie światów. On, zdeterminowany obyczajami patriarchalnej greckiej rodziny, ona — samotna i wyalienowana w „rodzinie-komunie”. Przedstawiając w komediowy sposób próby tych obójka zmierzające do odzyskania własnej osobowości, w gruncie rzeczy dotyka Altman spraw bardzo serio. Model współczesnej rodziny nie jest bowiem il tylko u nas tak gorąco dyskutowany. W komediowym duchu dochodzi Altman do kompromisacji dawnych i najnowszych, w hipsterskim ruchu zrodzonych, o niej wyobrażeń. Temat rodziny, zważywszy, jest powracającym w filmach Altmana motywem, spotykamy go w „Trzech kobietach” i w „Dniu weselnym”. Miesiąc się on bowiem w centrum uwagi tego reżysera, w rozważaniach o człowieku samotnym, zagubionym, uniformizowanym, pozbawionym szans szczęścia. I nie byłby Altman Altmanem, gdyby komediowego happy-endu nie skonstruował ze scenką obrazującą zachowanie innej pary, której rolę w całej opowieści zrozumiemy dopiero w kończącej ją puentie. Dziwna i smutna to komedia.

EWA NURCZYŃSKA

ŚWIAT ROBERTA ALTMANA

raco. Jest to tym bardziej intrygujące, że nie jest to ni życie, ni bohaterowie szarzy i przeciętni. W filmach Altmana spotykamy postacie osobliwe, których konstrukcja losów czy sytuacje, w których ich odnajdujemy służy do wyrażenia smutnych refleksji o dehumanizacji współczesnego świata.

Bogactwo tematyczne takich znanych u nas filmów Roberta Altmana, jak „Nashville”, „Trzy kobiety”, „Buffalo Bill i Indianie”, „Dzień weselny” oraz „Idealna para” każe być ostrym nym w próbach poszukiwania głównych wyznaczników jego twórczości. Przy wszystkich niuansach interpretacyjnych wspomnianych filmów, to, co zostało powiedziane wyżej, wydaje się

zowany film muzyczny. W filmie tym historię romansu czy miłości dobranej za pomocą komputera pary można traktować tylko jako pretekst dla zaprezentowania występów świetnego rockowego zespołu Allana Nicholls, muzyka i piosenkarza oraz współscenarzysty wielu filmów Altmana.

Muzyka jest oczywiście równoprawnym obywatelom tego filmu, lecz jej funkcja artystyczna przekracza jej wartości autonomiczne. Niekiedy zachwyt budi sposobem, w jakim Altman i Nicholls czynią z niej ós dramatyczną całość opowieści, jak na muzyce montują charakterystyczną dla reżysera luźną strukturę fabularną. Z pełnym komizmem i liryzmem

OPERETKA

Operetkę o pięknej o przewrotnej Zuzannie skomponował Jean Gilbert w 1910 roku i o szczególnie warte jest podkreślenia, to fakt, że zarówno jego dzieło, jak i bohaterka oparli się niszczącemu działaniu czasu. Noszą się i wprawdzie nieco staroswiecko, ale czynią to z wdziękiem budzącym tęsknotę za dawną minioną epoką bitycy i aeroplanów, wytwornych manier i jeszcze bardziej wytwornej obsługi w lokalach, o których wszystkie nasze sny minęły bez żadnych szans na to, że staną się jawą.

„Cnotliwa Zuzanna” dziś jeszcze urzeka nas śliczną muzyką zaciekawia znakomicie skoncentrowaną intrygą i bawi bogatą galerią uczestniczących w splocie wydarzeń postaci, z których każda wnosząc na scenę jedną tylko, najbardziej charakterystyczną cechę swej osobowości staje się cennym elementem barwnego obrazu moralności francuskiego mieszczaństwa z pierwszych lat naszego wspaniałego wieku.

Ten obraz każdemu ze współczesnych odbiorców wydać się musi niezbyt w gruncie rzeczy odległy, a owa „moralność francuskiego mieszczaństwa” — dziwnie znajoma. Od naszej dalszej, która, jak twierdzi, także nie całkiem jeszcze wymarła różni się tylko subtelnością i wdziękiem, które lagoda nieco równie lub bardziej jeszcze wysoki stopień zakłamania i hipokryzji.

Ponieważ jednak nasza rodzima (także współczesna) dalsza bardziej nas dziś śmieszy niż porusza i — nie widząc w niej godnego przeciwnika — chętniej ją po prostu wymiawamy niż wzywamy do walki, przeto i francuskie zakłamanie oraz rodzica się z niego sieć intryg stanowiąca fabularną konstrukcję operetki Gilberta po prostu tylko bawi, co — z całym szacunkiem dla satyrycznego i krytycznego zacięcia kompozytora — wydaje nam się ze strony Teatru Muzycznego propozycja najlepsza na tę zwłaszcza, pachnącą już teatralnymi „ogórkami” porę roku.

Ten operetkowy przyczynek do historii obyczajów Paryża w pierwszych latach „szalonego” wieku dwudziestego, skonstruowany jest z dużym wycuciem operetkowej sceny i niezmiennych od dziesięcioleci upodobań jej najwiewniejszej publiczności. Intrygi małżeńskie mnożą się tu w nieskończoność, zawisłości związków między niewiernymi swym ślubnym połowem bohaterami „Cnotliwej Zuzanny” osiąga najwyższy stopień nieprawdopodobieństwa, pikantni sytuacji scenicznych towarzyszy urodziwa muzyka, której kompozytyni dowcip wynikający ze wspomnianego już wycucia stylu odpowiada finezyjnie tekstowi. Jednym słowem „Cnotliwa Zuzanna” to niezwykle wdzięczny i gwarantujący po-

wodzenie materiał repertuarowy dla każdej operetkowej sceny. Nic więc dziwnego, że, zatem, że właściwie od daty pierwszej, prapremieryowej inscenizacji nie schodzi ona z muzycznych scen Europy, że na scenie operetki warszawskiej przybyła pełna swego uwodzicielskiego wdzięku już w rok po magdeburskiej prapremierze, a widzowie łódzcy spotykają się z nią po raz trzeci. Pierwszą wizytę „cnotliwa” Zuzanna z operetki Gilberta złożyła w naszym mieście w roku 1948, drugą — dwanaście lat później, trzecią zaś — wciąż piękna — i młoda — pierwszego dnia lata anno domini 1980.

„CNOTLIWA ZUZANNA”

Łódzcy realizatorzy „Cnotliwej Zuzanny” dołożyli wszelkich starań, by jej uroda jaśniała przed nami pełnią swego prawdziwego blasku. Ze staraniami te nie we wszystkich punktach uwieńczone zostały powodzeniem — jest już zupełnie inną sprawą i przyczyną pewnych niedostatków szukać należy jak sądzę w premierowym napięciu i tym niezwykłym doprawdy tempie z jakim od niedawnej inscenizacji „Pericoli” przygotowywano nasze spotkanie z Zuzanną. Są pewnie i inne przyczyny drobnych potknięć, ale jak nam wszystkim wiadomo, nikt nie jest doskonałym potknięcia te, gwoździ koniecznej sprawiedliwości i dania świadectwu prawdziwie, omówie szybko, by z przyjemnością przejść do zrelacjonowania istotnych zalet tego udanego przedstawienia. Jego premiera (pewnie skutkiem owej nieszczęsnej tremy) wydała mi się, zwłaszcza w pierwszym akcie grana w nazbyt wolnym tempie. Szkoda, że reżyser (Andrzej Żarnecki) świetnie radząc sobie z następnymi aktami widowiska, nie zdecydował się na znaczne skrócenie jego ekspozycyjnej części, szkoda też, że tak niewiele uwagi w całym spektaklu poświęcił chórowi, którego obecność niezakończona w pierwszym akcie i w tak licznej grupie zdawała się wręcz przeszkadzać i utrudniać rozwiązanie sytuacji scenicznej między głównymi bohaterami, w dalszych zaś częściach (w drugim akcie chyba ze względu na niezbyt fortunną zabudowę sceny) ograniczyć musiał swój i tak oszczędnie zakomponowany ruch. Kilka sytuacji między poszczególnymi parami boha-

terów raziło mogło niezręcznością scenicznego rysunku, wiele jednak — ay przejsz już do pozytywnego inscenizacji — urzekało subtelnością i dowcipem. Co jednak w ocenie reżyserkiej strony przedstawienia pokreślić pragnę z szczególną mocą, to godny najwyższego uznania fast takiego prowadzenia przez Żarneckiego poszczególnych postaci, iż każda z nich, mimo znacznego stopnia podobieństwa wnosila na scenę indywidualny ciekawy rys. Z zadaniem aktorskich pięknie wywiązały się wszyscy wykonawcy, a spośród licznych ich grona wymienię pragnę Jerzego Reimana, Irenek Marasim, Renatę Rentowską, Jerzego Czapińskiego, Edwarda Kamińskiego, Zbigniewa Bobowskiego, Małgorzatę Wilk — tytułową Zuzannę, Czesława Jarosiewicza i Jana Padkowskiego (do którego kieruje szczególnie serdeczne wyrazy pełne uznania dla niezwykle kulturalnej interpretacji postaci Emilia Kellera w „Moulin Rouge”) i kamerdynera w domu państwa d'Aubrais).

Trudnym zadaniem wokalnemu sprostała już nieco mniej liczna grupa solistów. Nie zawiedli jak zwykle niezawodni: Edward Kamiński i Małgorzata Wilk, barwą głosu i precyzją wykonania urzekła nas Renata Rentowska. Wraz z Edwardem Kamińskim odniosła ona prawdziwy sukces w duecie z pierwszym akcie. Nie odniósł natomiast sukcesu Tadeusz Błaszczyk (sprawiający kierownictwo muzyczne) zbyt częste i nazbyt słyszalne zdawały mi się pod jego ręką zachwiania tempa, zbyt często soliści „prowadzili” orkiestrę, której przykrogo doprawdy potknięcia w drugim akcie powinienn oszczędzić dyrygent prowadzący swój zespół (ach ta trema) nazbyt chaotycznie, a przy tym bez koniecznej w tym spektaklu, bo zapisanej w partyturze, dynamiki brzmienia.

Osobnego omówienia wymaga oprawa scenograficzna, będąca dziełem Ewy Nahlik. Czy to z powodów dyktowanych rachunkiem ekonomicznym teatru, czy też ze skromnością wizji plastycznej autorki scenografii zrodziła się dekoracja przesadna w swej prostocie i kostiumy jakby prosiące o więcej nieco blasku i paryskiego szyku. Nie można jednak odmówić tej propozycji znacznej funkcjonalności, która wydatnie pomogła wielu rozwiązaniom sytuacyjnym. Największą zaletą tego przedstawienia jest jego wysokiej próby, eleganckiej dowcip, a na ten walor złożyły się wszystkie elementy widowiska opartego na archybałowej fabule i znakomitej muzyce. „Cnotliwa Zuzanna”, która po trudach przygotowań do spotkania z łódzką publicznością wybrała się wraz z całym zespołem Teatru Muzycznego na zasłużony urlop czekać będzie na państwa w nowym, trzydziestym szóstym już sezonie Teatru Muzycznego.

EWA PANKIEWICZ

To banalne stwierdzenie coraz częściej przychodzi mi na myśl, gdy czytam, słucham i oglądam... Zaniki pamięci — zwyczajne i zaprogramowane — zdarzają się największym.

Przed laty głośna była sprawa wybitnego pisarza, który opublikował cudze przekłady z poezji włoskiej pod swoim nazwiskiem. Gdy wybuchł skandal — pisarz tłumaczył się, że zapomniał, co tłumaczył sam, a co koledy — wyjął po prostu maszynopisy z teczek i wysłał do „Poezji”. Osobiście mu wierzę — wśród inkryminowanych przekładów, były utwory autorów żyjących, więc trudno przypuszczać, aby ów zapomnieli pisarz liczył, że koledy nie zaprotestuują. Po prostu nie pamiętał — ludzka rzecz.

Jak wspominałem, zaniki pamięci zdarzają się największym. Krzysztof Kąkolowski wytknął kiedyś Melchiorowi Wańkowiczowi, że tę samą scenę, tę samą kwestię — raz opisał jako egzotyczny obrazek z jakiejś — afrykańskiej bodaj — podróży, a raz jako zdarzenie z zupełnie innej parafii i w zupełnie innej scenerii.

Wańkowicz, z właściwym sobie poczuciem humoru, odpowiedział na zarzut: „No cóż, w tej sytuacji... leżę”. Nie każdy jednak jest Wańkowiczem — ludzie najczęściej reagują

irytacją i obrażą, gdy im przypominie coś o czym po prostu zapomnieli.

A przecież zawodna pamięć jest rzeczą bardzo ludzką. Gdyby nie zdolność zapominania człowiek by zwirował. Nie jest zatem ważne, aby wszystko pamiętać — ważne, aby sprostowania przyjmować w sposób naturalny.

PAMIĘĆ JEST ZAWODNA

Wspomniany wyżej Melchior Wańkowicz napisał w roku 1966 artykuł „Spuszcza Zermorskiego”. W tym jednym tylko tekście wybitny pisarz popełnił furę omyłek. Zapomniał mianowicie jak się nazywał książę Gintuit z „Popiołów” i napisał... Gledroyd. Zapomniał o tym, że Mickiewicz najpierw napisał „Księgi pielgrzymstwa” a dopiero potem „Pana Tadeusza”. Sentencję Brodzkiego „Czyż każdy w swoim kółku, jak każe Duch Boży, a całość sama się złoży” — przypisał Jachowiczowi...

Kiedy „Życie Literackie” wytknęło Wańkowiczowi te efekty zaniku pamięci, pisarz się

nie obraził, tylko w wydaniu książkowym swoich felietonów... umieścił notkę „Życia” pod inkryminowanym tekstem. Bez komentarza, bez wykrętnych tłumaczeń. Jest w tym styl i klasa wybitnego pisarza.

Ostatnio czytałem „Poślizg” Jerzego Putramenta i znalazłem tam smakowitą scenkę. Oto narrator przychodzi do mini-

stra kultury i sztuki Włodzimierza Sokorskiego i mówi — „czy wiesz, że zostajesz zdjęty?” Sokorski oniemiał. Nie wiedział. Dowiedział się ostatnio.

Czy Putrament zmyśla? Czy zawodna go pamięć? Nie sądzę — scenę opisał sugestywnie i plastycznie, zresztą pisząc o człowieku współcześnie żyjącym musiał chyba rzecz sprawdzić... A może jednak nie — może to chodziło o kogoś innego?

Nie wiadomo. Bo oto czytam w „Tygodniku Kulturalnym” wywiad z Włodzimierzem Sokorskim, a w nim takie słowa: „Z resortu kultury odszedłem na własną prośbę, było to w okresie tzw. odwilży, kiedy

to wiele generalnych założeń kulturalnych ulegało przekształceniu, zmianom w kierunkach, których nie mogłem czy nie chciałem aprobować. Wolałem więc działać w innym środowisku...”

No cóż, pamięć jest zawodna, nieważne nawet w tym wypadku — Putramenta czy Sokorskiego.

Nieraz i bardzo osobiste przeżycia ulegają po latach — na skutek zawodności pamięci — różnym deformacjom. Antoni Słonimski wielokrotnie pisał o tym, jak w latach międzywojennych został zmuszony do pojedynku. Szczegóły były barwne i konkretne. Kiedy jednak Jerzy Rawicz zabrał się do pisania książki o pojedynkach dwudziestolecia — i zaczął wszystko drobiazgowo sprawdzać — okazało się, że Słonimski wielu rzeczy zapomniał, że mylił mu się nawet daty i godziny tego wydarzenia.

Jest zresztą w tym wszystkim jakaś — nie najgorsza w końcu — cecha naszych szarych komórek. Wyrzucamy z pamięci to co niewygodne, to co u wierza, to o czym nie chcemy pamiętać. I dlatego Historia składa się w dużej mierze z naszych „chceń” i kiksów pamięci. Ale czasem warto tę pamięć odświeżać.

Mówi się często tak: „o ważności komunikacji w naszym życiu nikogo nie trzeba przekonywać”. I to jest prawda. Wszyscy są dogłębnie przekonani, że bez komunikacji we wszelkich jej formach żadne dziś cywilizowane społeczeństwo funkcjonować nie może. Ale tylko niech ktoś w myśl tych ogólnych założeń, tej powszechnie aprobowanej prawdy, spróbuje krytykować którąś z form komunikowania się naszego społeczeństwa, zaraz przekonana się, że jest wrogiem, ignorantem, złośliwcem. Bo oni — tu proszę sobie wstać — odpowiedź słowo: kolejarze, pocztowcy, pracownicy PKS, drogowcy, transportowcy i tak dalej — pracują ciężko, borykają się z nadmiernymi trudnościami, pokonują je jak mogą albo nie pokonują, jak nie mogą, a my — to znaczy cała reszta społeczeństwa, a także te hieny dziennikarzy — nie tylko krytykujemy, przesmrodzamy, wymagamy i domagamy się, przeszkadzając tym samym w porządnej pracy.

Mnie osobiście można na przykład posądzić, że nie lubię poczty, PKS, PKP, „Transbudu” oraz pana Kazia, który cią-

ru, torów, podkładów i o tym, że im też ludzi brakuje, więc również dlatego tylko oni mają cierpieć za wszystkich. I tak łańcuszek winnych rozmowy się powolutku, tonie w grzęzawisku trudności obiektywnych. Jeśli coś kiedykolwiek zgubi Polskę, to przede wszystkim trudności obiektywne.

Jesteśmy wszakże społeczeństwem cywilizowanym, które postanowiło podnieść stopień własnego ucivilizowania i w takim społeczeństwie wszelkie rodzaje komunikacji pełnią rolę nerwów życia i bez nich nie będzie z naszych pięknych planów i zamierzeń. Wadliwie funkcjonująca komunikacja może być rozłożona przez byle silną burzę i wtedy tłumy zmoczonych ludzi, zdenerwowanych, przestraszonych młotów się będą beznadziejnie w poszukiwaniu ratunku. W takich skrajnych sytuacjach wydarzyć się może wszystko. A przecież żyjemy w określonej szerokości geograficznej, w określonym klimacie i powinniśmy umieć wyciągać wnioski z tych obiektywnych faktów. Nie umiemy.

Cóż jednak żądać od naszych różnych służb publicznych właściwej organizacji, która wyni-

TELEWIZJA

— Tak, proszę pana, telewizja uczy i wychowuje — zagadnął mnie w windzie sąsiad — Oczywiście — odparłem, czekając na argumenty. — Otóż, niechaj pan sobie wyobrazi, że podczas spaceru w sobotnie przedpołudnie, podchodzi do mnie — opowiada sąsiad — nieduży, młody człowiek z groźną miną, mówi „cześć” i podnosi zaciśniętą pięść tak, jakby mnie chciał uderzyć. „Cześć” — odpowiedziałem, obserwując tę piastkę, która ów pijany, jak się okazało, zaczął mi przed nosem wywijać. „Daj na wino, no ze trzydzieści, albo ile masz, szybko”. I wie pan, że mu dałem jakąś monetę — opowiada dalej sąsiad — bo mnie rozśmieszył. — Rozśmieszył? — zdziwiłem się. — A tak, bo przypomniałem sobie wczorajszego western z telewizji o westmanie Durango, zwanym Inkasentem. Oglądał pan?

Winda się zatrzymała. Sąsiad pojechał wyżej, a ja zacząłem rekonstruować sobie tę wioską opowieść o rewolwerowcu, który przy pomocy pięści i colta odbierał długie i inne należności. I wtedy zrozumiałem, iż przypowieść sąsiada była nieco demagogiczna. Durango był szlachetny, odbierał to co mu się należało. Natomiast uliczny inkasent z historii sąsiada podpatrzył sposób działania bez oglądania się na motywację. Mam nadzieję, myśląc o rzeczywistych inkasentach z elektrowni, PZU i innych instytucji, że nie wszyscy oni, potraktowali film „Powrót Durango” jako profesjonalny instruktaż.

Zresztą nie filmy nadawały ton programowi ubiegłego tygodnia. Mały ekran rozbrzmiewał przecież muzyką Krzysztofa Pendereckiego, wrzawa kibiców futbolu i pieniemi z festiwalowej estrady. Te ostatnie towarzyszyły nam będą jeszcze przez wiele tygodni i zamkną gdzieś pod koniec sierpnia. A wracając do ostatnich siedmiu dni w TvP nie wiem czy najlepszym pomysłem były wielogodzinne transmisje z „Dni muzyki Krzysztofa Pendereckiego”. Zaraz, proszę się snobistycznie nie obrażać. Nie mam zamiaru podważać wartości dzieł tego, bezsprzecznie, jednego z najwybitniejszych kompozytorów naszego stule-

cia. Rzecz w tym, że takie koncertowe long-playe na małym ekranie mijają się z założonymi intencjami (upowszechnianie, podnoszenie kultury muzycznej etc.). Byłoby lepiej, biorąc pod uwagę uwarunkowania percepcyjne tv, gdyby twórczość Pendereckiego istniała w programie TvP stale w określonych proporcjach. A tak wygląda na to, że telewizja nie bacząc na skutki, nadrabia dotychczasowe zaległości. Idę o zakład, iż po tym „festiwalu”, muzyka Pendereckiego zniknie z ekranów i głośników TvP na długie lata. Podobnie egzemplifikację z działalności programowej naszej tv znajdujemy ciągle. Najpierw oglądamy kogoś przez wiele tygodni pod rząd, a potem

DURANGO, PENDERECKI I PIŁKA W GRZE

ów ktoś znika z ekranu na długo, a czasem na zawsze.

O transmisjach futbolowych z Miśtrzostw Europy nie będę się rozpisywał. Dobrze, że są, a na poziom tych rozgrywek Tomasz Hopter, a tym bardziej Jan Ciszewski, wpływu nie mają. Jedno jest warto podkreślić: jakość tych transmisji. Jeśli mecze te nie miały być lekcją poglądową dla naszych piłkarzy (zresztą bez przesady, i oni mogą się wiele nauczyć), niechaj przynajmniej będą instruktażem dla naszych kamerzystów, „inżynierów wozu” i innych realizatorów. Po pierwsze widać boisko i piłkarzy. Po drugie, kamery — jakby

elektronicznie sprzężone z piłką — towarzyszą jej idealnie. Po trzecie, ... itd., itd. Do formuły tych transmisji dostosował się znakomicie redaktor Andrzej Zydorowicz, który nie bawiąc się w jakieś stylistyczne i gramatyczne wywisy, bez powiedzeniek w stylu „dopóki piłka w grze” informował o tym co niebezpieczne.

Na koniec tego, ostatniego przed wakacjami, felietonu, chciałbym wrócić do audycji, o której już trzy tygodnie temu wspominałem, tzn. do programu „Spotkania literackie”. Jego pojawienie się w bloku „Tyko w niedzielę” wszystkim miłośnikom literatury sprawiło satysfakcję. Ale do czasu, tj. do momentu, kiedy okazało się, że będzie to audycja regionalna. Każdy ośrodek, w tym samym czasie, będzie prezentował twórczość swojego pisarza. Łódź — Wacława Bilińskiego, Lublin kogoś tam, Wrocław też itd. I jest w tym pomysły jakiś absurd, całkiem niezrozumiały. Należni myśleć, że będzie to audycja ogólnopolska, podczas której usłyszy i zobaczą wreszcie pisarzy nie tylko z warszawskiego oddziału ZLP, że poznam twórców, którzy związawszy się z „provincją” na określenie pisarz prowincjonalny nie zasługują, że będzie to panorama, w miarę szeroka, współczesnej literatury polskiej. Zamiast tego zaserwowano nam program lokalny, w którym przedstawia się pisarzy w danym środowisku artystycznym już znanych i cenionych. To tak jakby zorganizować festiwal piosenki (przepraszam pisarzy za to porównanie), gdzie każdy z wykonawców śpiewałby u siebie w domu dla swojej rodziny. Pomysł wprawdzie oryginalny, ale przecież głupi.

Barbara Pietkiewicz w ostatniej „Antenie” zapowiadała koncerty polskie. Będzie tego, a będzie! Ja zrobię tak, jak zaleca narrator, zastyszczając kiedyś, trawestacji ludowej przysłówki: „Geś za wodą, kaczką za wodą — a ja pójdę plechota”. I czytelnikom tych słów życząc udanych grzybobrań, relaksu i słonecznych kąpiel — jednym słowem udanych wakacji!

GRZEGORZ GAZDA

NERWY ŻYCIA

gle do mnie dzwoni i słyszę mój baryton pyta słodko: Kasia? a później przeprasza i całą winę zwała na fatalny stan telefonów w Łodzi, ale Najwyższej Izby Kontroli trudno posądzać o nieulubienie kogokolwiek, gdyż jej podstawowym zadaniem jest obiektywność za wszelką cenę. I ta właśnie Najwyższa Izba Kontroli zbadała pracę w 35 większych placówkach pocztowych w 11 województwach i stwierdziła to, co wiemy już od dawna, że poczta pracuje bardzo mało. Regulamin pocztowy zakłada, że list powinien być dostarczony odbiorcy w ciągu 24 godzin od nadania, a paczka w ciągu 48 godzin. NIK stwierdziła że w 1979 roku tylko połowa przesyłek pocztowych dotarła do adresatów w regulaminowym czasie.

Pocztowcy na to, że to nie tylko ich wina, że również PKP, PKS i transport „Łączności” nie dotrzymuje terminów, że pociągi spóźniają się, że worki z pocztą trafiają nie do tych ambulansów, co trzeba, że wędrują po kraju, co oczywiście przedłuża czas, w którym są w ręku poczty i przesyłki spóźnione docierają do adresata. Poza tym, brakuje listonoszy i to też utrudnia doręczanie przesyłek. Regulaminowo listonosz powinien dwa razy dziennie docierać do naszego domu, a dociera raz.

Skoło więc nie jest to tylko ich wina, to dlaczego tylko oni mają za taki stan rzeczy cierpieć? Wątpliwosć wydaje się słuszną. Z pozoru przynajmniej, bo zaraz kolejarze powiedzą o fatalnym stanie tabo-

kalaby z realnych przesłanek, skoro nie potrafimy poradzić sobie ze sprawami naprawdę drobnymi. Oto „Expres Wieczorny” od dłuższego czasu dobija się o to, aby w Warszawie, a także w innych dużych miastach telefony służbowe były udostępniane — za opłatą oczywiście — do publicznego użytku. Chodzi tu o telefony, jakie mają dysponujący sklepy, kioski „Ruchu”, restauracje i inne placówki służby publicznej. Wiadomo, że telefonów jest mało, że każdy dodatkowy aparat ułatwia nam komunikowanie się z innymi ludźmi, w pilnych sprawach. W zasadzie wszyscy są za tym. Ministerstwo Łączności też popiera tę inicjatywę. Wszystkie centralne urzędy zainteresowanych pionów, jak „Społem”, „Ruch” i tak dalej, też są za. Ale w praktyce kierownik sklepu powiada, że telefon ma dla siebie i nie będzie mu jakiś łachmyta płać się po zapleczu, jakby nie można było umieścić telefonu w dostępnym dla wszystkich miejscu. Jakby nie było telefonów przenośnych. Podobne stanowisko zajmuje gastronomia.

I tu chciałbym naszym gastronomom polecić obejrzenie sobie różnych starych filmów, w których kelner przynosi do stolika aparat telefoniczny. A to są — powtarzam — stare filmy.

Teraz należy wykonać niezbędną pracę myślową. Życząc powodzenia.

MARCIN RODAK

1/3
mini
magazynek

Uwaga! Bliskie podobieństwo

W Fabianicach w galerii ludzi dobrej roboty umieszczone portrety miejscowego specjalisty od położnictwa i ginekologii, lekarza medycyny Janusza Bieńkowskiego. Gratulacje!

W Fabianicach wszakże mieszka nasz kolega, pisarz i dziennikarz Ryszard Binkowski. Pech chce, że oba nazwiska brzmią podobnie i na dodatek obaj panowie mają prawie identyczne numery telefonów, różnica jest tylko w ostatniej cyfrze. Telefon J. Bieńkowskiego kończy się na „4”, naszego kolegi redakcyjnego na „3”. Zdarza się więc, że panie dzwonią do naszego kolegi umawiając się na wizytę.

Ostrzegamy! Bliskie podobieństwo jest tylko w brzmieniu nazwisk i numerów telefonów. Rysio B. niewiele panom pomoże w kobiecych kłopotach. Lepiej więc się najpierw dokładnie upewnić, czy dzwonią panie pod właściwy adres i do właściwego człowieka.

ZYG.

Korespondencja

TO NIE TEN

Nasz Czytelnik, Ignacy Żebrowski z Fabianic powatpiewa, po naszej notatce z poprzedniego numeru 1/3, czy napisy ZANUSI na włoskich stadionach odnoszą się do naszego Krzysztofa Zanussiego. I ma rację. Ale piłkarzom naszym powinno być wstyd niezależnie od tego, czy o tego czy innego Zanussiego chodzi.

„JEDNA TRZECIA”

SPOSÓB

„Tygodnik Plotkowski” wpadł na oryginalny pomysł. W numerze 25 z 18 czerwca 1980 roku opublikowano artykuł Teresy Lechowicz, który był już raz ukazany na tych samych łamach, a mianowicie 19 grudnia 1979 roku. I nie jest to przeoczenie, czy pomyłka. Redakcja w „PS” informuje, że uczyniła to świadomie, gdyż „na terenie Fabryki Domów nie zaszyły w tym czasie żadne zmiany” i krytyczne uwagi sprzed pół roku nie straciły nic na swej aktualności.

Krytyka ta dotyczy między innymi Przedsiębiorstwa Budownictwa Przemysłowego nr 2 w Łodzi.

S. Z. PERACZ



Rys. Walerian Domański

Ze sportu

NIEBEZPIECZNA ZABAWA

„Express Ilustrowany” przeprowadził sondę wśród ludzi znających się na piłce nożnej. Zadano trzy pytania, z których jedno dotyczyło naszych szans, gdyby polska drużyna znalazła się we Włoszech. Odpowiadający na ogół przyznają, że „nie mamy obecnie silnej reprezentacji”, ale popuszczają sobie wodze narodowej megalomanii i powiada, że „przy odrobinie szczęścia nie byłibyśmy bez szans w spotkaniach z Grecją, Czechosłowacją a nawet... z Holandią”. Co to mielibyśmy któreś z medalowych miejsc. Tylko fakty temu przeczą. Nas po prostu nie ma we Włoszech. A nasi piłkarze mieli takie same możliwości jak inni, grali również w eliminacjach i odpadli. Po co więc bawić się w co by było, gdyby było. Taka zabawa jest niebezpieczna, gdyż uspokaja krytycyzm w stosunku do ciągle źle grającej reprezentacji.

K. I. BIC

Poczta Polska wypuściła serię znaczków „Grzyby niejadalne, wymagające ochrony”. Hamilton w „Kulturze” bardzo nakrzydzał na ten pomysł, pisząc m.in.: „Znaczkę, która wypuszcza się w sytuacji, gdy zagrożony jest byt setek i tysięcy roślin i zwierząt znacznie bardziej uciążliwych niż te cholerne grzyby trujące, które ohy piekło pochłonięto”.

Są to wprawdzie grzyby niejadalne, a nie trujące, a to dość istotna różnica. Ale i tak sprawa jest sporna, bowiem na znaczku za 8 zł Poczta Polska przedstawiała „szmaciaka galeziastego” jako grzyba niejadalnego. I tu nie ma zgody.

Po pierwsze — „Atlas grzybów leśnych” Henryka Orłosa na str. 70

SPÓR O GRZYBY

zalicza tego grzyba do jadalnych, pisząc m.in.: „Gatunek ten ma dość wysoką wartość smakową i spożywcza”.

Po drugie — „Mały atlas grzybów” dr Alberta Pilata informuje o tym grzybie: „Dokonały grzyb jadalny; może być przyrządzany w każdy sposób właściwy dla grzybów i zawsze dobrze smakuje”.

Po trzecie — sama jadłam „szmaciaka galeziastego” i jak widać z niniejszego tekstu czułam się zdrowo, jestem żywa i mogę zapewnić, że grzyb rzeczywiście jest smaczny.

Sięgnij więc Poczta Polska zacczerpła informacje o tym, że „szmaciak galeziasty” należy do grupy grzybów niejadalnych? Nawet „szmaciak listkowaty”, krewniak galeziastego też jest jadalny. Po co wprowadzać ludzi w błąd?

BETA Z.